



N^o 42.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 17 paździer. 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 ¹/₂.

TOM II.

Treść numeru. Typy i postacie ludowe (drzeworyt). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Mąż upatrzony, powieść z życia w dwóch częściach, p. Jana Zacharyasiewicza (z pięcioma drzeworytami). — Rozmaitości. — Kościół parafialny w Złotopolu, gub. kijowska (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Silni i słabi, powieść (dalszy ciąg). — Przejazd przez szczyty Kaukazu, skreślił Kaźmirz Łapczyński (dalszy ciąg).

Kronika tygodniowa.

TYP Y I POSTACIE LUDOWE.



Przy studni. (Rysował z natury Przyszychowski).

cięrać; państwo, dzieci. służba, wszyscy oddają się z zapalem tej gimnastyce zapalkowej, po której na świeżych ścianach pozostają smugi brunatne, świadczące o zamięłowaniu oświecenia.

Nie mówię już o plamach atramentowych na posadzce, o miejscach wypalonych przez szczątki cygar i papierosów, o umyślnem nieraz ruinowaniu drzwi i zamków zapomocą energicznego otwierania i zamykania. Każda sprzeczka domowa odbija się na skórze nieszczęśliwego gospodarza domu, zły humor bowiem doprowadza zawsze do pastwienia się nad jakąś częścią własności nieruchomej.

Toż samo powiedzieć można o służących. Czują oni prawdziwy wstręt do porządku domowego, wstręt znamienny się systematycznym wybijaniem szyb, których lagrowe szkło zastępuje się towarem u szklarzy ulicznych za tanie pieniądze zakupionym, niszczeniem rynien, zanieczyszczaniem kuchni, przedpokojów, schodów i podwórza. Żadne reklamacje tu nie pomogą: im w większym porządku dom utrzymywany, tem energiczniej służdy nasi poczuwają się do powinności

Mówiliśmy już kiedyś, że brak poszanowania cudzej własności stanowi jedną z głównych wad naszych.

Przykłady tego mnożą się co chwila.

I na tym punkcie właściciele domów mogliby zwyciężko odeprzeć zarzuty jakie im stawiają nieraz lokatorowie w nigdy nieuciszającej się kwestyi drożyzny lokali.

Niedawno jeden z tych panów właścicieli odezwał się do nas w te słowa:

— Chcecie panowie lepszych porządków domowych, wprowadzenia wody na piętra, gazu i t. p. i t. p. Ale jeżeli tego dotychczas niema, winicie samych siebie. Lokator, (oprócz rzadkich wyjątków) wprowadzony do nowego i świeżego pod każdym względem lokalu, to trochę jakby Wandal po wzięciu szturmem Rzymu. Przy zawieszaniu obrazów, luster i t. d. robią się dziury w kosztownym obiciu, i mniejsza zresztą o jedną, kiedy już ta koniecznie potrzebna, ale nieraz takich

dziur po dwie i trzy robi się naraz w murze, jeżeli odległość niedobrze wymierzona, albo gwóźdź słabo trzyma. Lustro lub obraz pokryje to wszystko; ale trzeba pamiętać że skoro opróżni się mieszkanie i kto inny na to miejsce się wprowadzi, to skutkiem zmiany porządku w umeblowaniu wszystkie te,

dziury wyjdą na jaw, a potem krzyk na gospodarza, że w porządku lokalu nie utrzymuje i nie chce dać nowego obicia.

Albo te nieszczęśliwe zapalki chemiczne, które wynaleziono na nasze utrapienie, to prawdziwa klęska właścicieli domów. O obicie najłatwiej jakoś po-

przeszkodzenia temu. I chcecie żeby gospodarz, który patrzy z boleścią serca na takie marnowanie swojego dobytku, na umyślne prawie obtłukiwanie porządkich pieców, drzwi dobrze dopasowanych, i ozdób domowych które za potrzebne uznał zaprowadzić po lokalach, żeby mówić ten nieszczęśliwy

gospodarz pozbył się ostatniej szansy odbicia na komornym chociaż części tych odnowień, które każda zmiana lokatora niezbędnymi czyni.

A cóż dopiero dzieje się przy wyprowadzaniu. Prawdziwa Sodomia i Gomora. Zmieniający lokal bywają zwykle w złym humorze i nie dziwi się temu, bo to kłopot nielada. Ale wszystko się na biednym właścicielu odbija.

Lada gwóźdź żadnej wartości nie mający, lada zasuwka, dzwonek lub hak, wszystko się wydobywa najskrupulatniej i zabiera ze sobą, z tą tylko różnicą, że jeżeli przy wbijaniu zachowywano pewne ostrożności, to przy odbijaniu lokal ruinuje się do szczytu, bo to cudza własność, więc oszczędzać jej niema potrzeby. Są tacy, a mógłbym ich imiennie przytoczyć, którzy umyślnie przez zemstę za urojone krzywdy pragną po sobie ruiny pozostawić i mszczą się na lokalu, jak Scypion na Kartaginie, pocieszając się myślą, że narobią tym przykrości biednemu Punicie gospodarzowi. Wierzą mi pan, nieszczęśliwa nasza dola, i powiedziałbym ci więcej jeszcze, gdyby nie to że sam jesteś lokatorem, a więc z konieczności już zabrałeś miejsce w szeregu wrogów naszych."

* * *

O wy, wszystkie pomniki kunsztownej natury,
Cyklopijskie sklepienia, świątyni greckich wzory,
I wyżłobione w skałę podziemia Ellory,
I dumnej Heliopolis o stu bramach mury,
Piramidy egipskie twarde jako skały,
I świątynio koryncka o nawie wspaniałej...
Jeżeli wasze głazy, marmury, granity,
Co zdawały się stawiać pomnik niespożyty,
Żelazna ręka czasu wiedzie do zatraty,
Jak się dziwić, gdy w gruzach wielkość wasza
[przednia,
Że nasze omnibusy, choć pochodzą z Wiednia,
Wyglądają jak stare, odrapane graty?..

Tak jest... omnibusy krócej wprawdzie trwały od piramid, ale zato gorzej od nich zruinowane.

Przynajmniej dwa razy na tydzień na głównych ulicach można spotkać jeden z tych wehikułów nachylony ku rynsztokowi, ze złamaną osią lub wysuniętym kołem, wypraszający z wnętrza swojego pasażerów i to najczęściej podczas deszczu.

O poduszkach, które niegdyś miały uwygodniać siedzenia, tradycja już zaledwie pozostała; koni ostatkami sił goniących, nawet rewalenta Dubarry nie zdołałaby doprowadzić do pożądanego stanu zdrowia, drzwi się nie zamykają, dzwonki nie dzwonią, wiatr przez wybite szyby swobodnie wyśpiewuje swoje piosenki, groząc paraliżem zaciśniętym jak śledzie w becce zwolennikom omnibusowej jazdy, a resory służą tylko do tego, żeby na skontuzjonowanych bokach tych zwolenników dać miarę wszelkich niedogodności warszawskich bruków.

I czy wiecie rzeczywistą przyczynę dla której piramidy, bądź co bądź, trwalszymi się okazały od omnibusów?

Nie dlatego, że budowa ich była nieco staranniejsza, bo zato omnibusy można naprawiać i odnawiać, a z piramidami trudnaby była sprawa, ale dlatego głównie, że żadna tak zwana *entrepriya* nie wzięła piramid pod swoją opiekę, podczas kiedy omnibusy oddawna dostały się w ręce przedsiębiorców ulicy Nowowiniarskiej *et consortes* i od tego czasu głównie datuje się ich upadek.

Przedsiębiorcy bowiem o których mowa liczą tylko na chwilę bieżącą; byleby jaknajwiększy natychmiastowy zysk wyciągnąć z proceduru który im podpadnie pod rękę, reszta już ich wcale nie obchodzi.

Niech przepada włożony kapitał, kiedy dochody go oddawna spłaciły.

Czy podobnego rodzaju spekulacja jest dobrze zrozumiana, czy godziwą wreszcie tam, gdzie idzie o rzeczy użytku publicznego, w to im nie wchodzi i nie troszczą się o to wcale.

* * *

Działalność tych przedsiębiorców nie kończy się jednak na omnibusach.

Owładnęli oni w tych czasach inną gałęzią przemysłu ulicznego, nadając jej rozwój po swojemu... Mówimy tu o katarynkach.

Na tak zwanych katarynkarzy składała się albo uboga ludność miejscowa, szukająca łatwego zarobku w kręceniu korbą, albo też przybyli zdaleka włoscy przemysłowcy, którzy, jako stanowiący część narodu z melomanów złożonego, wyrobili sobie przywilej rozdzierania uszów wszystkim mieszkańcom starłej Europy.

Zdaje się iż rzemiosło to musiało być dość zyskowne, kiedy zwróciła się na nie uwaga przedsiębiorców wyżej wspomnianych. Wykupili oni wszystkie katarynki od Włochów, i dzisiaj najęci przez nich ludzie zaufania, tegoż samego pokroju co konduktorzy omnibusów, chodzą po mieście, wydobywając z przedętych fletów katarynkowych rozmaite arye, ze znanych i nieznanym oper.

Wypływa ztąd, że niedogodność ta uliczna powiększyła się w dwójnasób.

Taki najęty muzyk nie ustąpi za nic w świecie, dopóki nie dostanie odczepnego, przedsiębiorca bowiem wyznaczył mu pewne *minimum*, które musi przynieść do domu i bez zebrania tej kwoty nie może mu się na oczy pokazać.

Naturalnie że katarynki ulegają temu samemu losowi co i omnibusy: w razie ich zepsucia się nikt nie myśli o naprawie. Tém gorzej dla mimowolnych słuchaczy, jeżeli są wystawieni na tortury uszne, których doniosłości wyrazić niepodobna.

Im nawet katarynkarz fałszywiej gra, tém więcej zarabia, bo ofiary jego koncertów śpieszą ze złożeniem mu datku, byleby się czémprędzej oddalił.

W rękę także dowcipnisiów ten ujemny przymiot katarynek staje się straszną plagą.

Niedawno wypadły imieniny jednego z tutejszych zapalonych lubowników muzyki.

Kilku przyjaciół solenizanta postanowiło zrobić mu niespodziankę.

Po troskliwym więc wyszukaniu, najeli sześć katarynek najfałszywiej grających w Warszawie i kazawszy im zgromadzić się o ranniej godzinie na podwórku domu w którym solenizant mieszkał, ustawili je szeregiem przed oknami jego pokoju.

Naturalnie każda katarynka miała grać co innego.

O godzinie siódmej z rana rozpoczął się koncert, którego straszne wrażenie mogłoby tylko oddać pióro Danta w przerażającym opisie piekielnych męczarni, które fantazyja tego mistrza nagromadziła.

Biedny muzyk zerwał się nagle z łóżka i pomimo chłodu otworzył okno, rozkazując katarynkarzom oddać się czémprędzej.

Ale dobrze zapłaceni maestrowie uliczni stali jak mur, kręcąc korbami z coraz większym zapamiętaniem ze swoich instrumentów najdziwniejszego rodzaju kakofonie.

Nie pomogły prośby, zaklinania i rzucone nawet przez okno pieniądze. Nieszczęśliwa ofiara tego zaimprovizowanego koncertu wyrwała sobie włosy z głowy, i widocznym było że nerwowe rozdrażnienie doprowadzi ją do jakiej choroby.

Aż wreszcie dowcipni sprawcy tej niespodzianki wyszli z ukrycia i przy ogólnym wybuchu śmiechu i zadowolenia, polecili katarynkarzom oddalić się.

Ten nowy rodzaj powinszowania na długo zapewne pamiętnym będzie nieszczęśliwemu melomanowi.

Przyjaciele jego tłumaczyli się tępem, iż to była niewinna zemsta za wystąpienia amatorskie, któremi ich tak okrutnie skarany solenizant zbyt często trapił.

* * *

Wyszła w tych dniach z druku niewielka książeczka, nosząca na okładkach tytuł „Kolorowe obrazki” przez Wiktora Gomulickiego. Są to przedruki z powiastek w tutejszych pismach codziennych zamieszczonych.

Barwność i ożywienie stylu stanowią główne przymioty tych drobnych utworów, które przyjmujemy jako zapowiedź prac donioślejszej treści, ku którym zwrócić się powinna niezaprzeczona zdolność młodego pisarza.

Nie potępiając łatwej do wytłumaczenia skwapliwości w wyprowadzeniu na świat pierwszych objawów działalności piśmienniczej, radzimy wszakże autorowi „Kolorowych obrazków” staranniejszy wybór i umiejętniejsze obmyślenie przedmiotów, mających służyć za treść przyszłych jego utworów.

Prawda leży tylko w tępem, na co własnymi patrzyliśmy oczami, cośmy z własnego zaczerpnęli doświadczenia. Tylko myśl jasno w nas samych żyjąca, jasnymi potrafi uobrazować się wyrazami. Musiemy sami wierzyć w to co piszemy, żeby potrafić w innych rozbudzić tę wiarę naszą. Ale fantazyje, pisane pod wrażeniem reminiscencji dzieł gdzieś przeczytanych, zawsze grzeszyć będą nieumiejętnością wzbudzenia w nich rzeczywistego życia. Czuć w takim razie że autor czerpał nie z siebie i że nie dorabiał się wiedzy której pragnie innym udzielić.

W każdym jednak razie pan Gomulicki posiada niezaprzeczane zdolności i artystyczne poczucie pięknej formy, a to już niemało.

* * *

Zdarzają się w życiu ludzi jasne chwile, które promieniają blaskiem na całe istnienie, w których się zapomina o trudach, nędzach i boleściach żywota.

Szczęśliwy ten na kogo Bóg w takim dniu zesłał promień widomej łaski swojej.

Dla Królikowskiego onegdajszy wieczór był jedną z chwil takich.

Cały tłum wrzący uwielbieniem, wszystkie piersi huczące okrzykiem zapału, wszystkie ręce wzniesione w górę dla oklasków, ogólne rozradowanie, ogólna harmonia w hołdach składanych talentowi, a przede wszystkim ów uroczysty, poważny nastrój z jakim cała publiczność okazywała miłość swoją i szacunek dla artysty — to najpiękniejsza nagroda w życiu.

Mniejsza o dary, w jakiejby one wyraziły się formie, (a były niemi kosztowny upominek i wieńce), ale najmiłszym darem dla artysty, najserdeczniejszą pociechą było to widome ocenienie ćwierćwiekowych trudów i poświęcenia, które łyż wdzięczności z oczów jego wywołując, zaparło w piersiach słowa jakimi chciał podziękować publiczności.

Dziwnie piękny pozór miała wczoraj sala teatralna.

Tym razem pierwsze miejsca zajęli ludzie, którzy wytknąwszy sobie zacną i użyteczną pracę jako cel życia, trud i poświęcenie drugich ocenić umieją. Widzieliśmy tych ludzi wyjątkowo w łóżach pierwszego piętra, w krzesłach pierwszych rzędów. Tym razem prawem i przebojem zajęli oni te stanowiska przez innych opuszczone, żeby dowieść szacunku i uwielbienia dla artysty, w którego zaszczytnym stanowisku jakie sobie długoletnimi trudami wyrobić potrafił, własną chwałę upatrują.

Była to solidarność ducha i myśli.

Ale jakże opisać to całe serdeczne zgromadzenie, w którym każdy biorący udział czuł że dopełnia obowiązku jako poszanowanie sztuki nań wkłada? Wszystko co kocha i czci sztukę, było onegdaj zgromadzone w teatrze.

* * *

Lecz uwagę naszą zwróciła szczególnież łóża drugiego piętra, gdzie kilka kobiet siedziało.

Pomiędzy temi kobietami białym jak śnieg włosiem i poważną twarzą odznaczała się staruszka, która nieruchomie, nie zmieniając prawie miejsca ani układu ciała, śledziła za całym przebiegiem sztuki, za każdym słowem artystów.

I kiedy Franciszek Moor ukazywał się na scenie, twarz staruszki promieniała szczęściem i rozradowaniem, zdawało się że duch jej wybiega do niego i zespolić się z nim pragnie.

Patrzyliśmy na nią kiedy przeciągle, huczne, nieustające oklaski stwierdzały dla artysty hołd widomy, w wieńcach mu ofiarowany. Zapomniała wówczas o wszystkiém i o wszystkich. Serce jej na twarz wybiegło, łyż po zwiedłych toczyły się polickach, a usta zdawały się szeptać jakąś niemą modlitwę dziękczynienia.

Była to matka wielkiego artysty, która pomimo podeszłego wieku i osłabionego zdrowia, pragnęła dzień ten uświetić swoją obecnością.

* * *

Żalobnem wspomnieniem przychodzi nam zakończyć dzisiejszą kronikę.

W zeszłym tygodniu zmarła Julia Janiszewska, autorka poświęcająca wyłącznie czas swój i prace kształceniu młodego pokolenia.

Zdawałoby się że serdeczna miłość i prostota słowa Jachowicza, którego była przyjaciółką i wielbielką, w dziedzictwie jej przekazane zostały.

Śp. Julia nie szukała rozgłosu z prac swoich, pomieszczając je przeważnie w pismach dla użytku młodzieży przeznaczonych, ale umiała wynajdywać te właśnie drogi, które najskuteczniej dążyły ku zamierzonemu przez nią celowi.

Myśl moralna jaka z każdego jej utworu wybitnie, przynosi zaszczyt jej pamięci, zaszczyt tém godniejszy poszanowania, im mniej za życia ubiegała się za tą błyskotliwą wziętością, co pod świetnością słowa, kryje nieraz próżnię myśli i serca.

Przegląd polityki zagranicznej.

16 października.

Zajęta chwilowo wypadkami w Hiszpanii, opinia publiczna powoli zwraca się ku innym europejskim sprawom. Polurządowa prasa francuzka wystąpiła znowu z groźnami przeciw Prusom odezwaniami, tym razem jednak pobita została przez prasę berlińską. Wprawdzie dzienniki francuzkie nie bez słuszności wstawiają się za Danią w imię traktatu pragskiego, zawartego pod wpływem rządu francuzkiego, lecz oskarżenie rzucone przeciw Prusom przez Patrie, jakoby prasa berlińska podniecała namietności, pozbawione jest wszelkiej zasady. Bezstronnie wyznaczyć należy, że ton dzienników berlińskich wciąż był dla Francji uprzejmy, podniecanie zaś namietności prędkiej francuzkim przypisać podobno wypadnie. Bądź co bądź, dawna mania pogłosek wojenno-pokojoych znowu wychylać się zaczyna pośród szpalt dziennikarskich. W bieżącym tygodniu naprzykład poruszono kwestyą kongresu i powszechnego rozbrowienia się. Według niby dobrze zawiadomionych dzienników, rewolucja hiszpańska zerwała tworzące się przymierze Napoleona III z królową Izabellą, na mocy którego 30,000 wojska hiszpańskiego zajęło Rzym wrazie wojny z Prusami. Upadek Izabelli II zwichnął te plany, zamienił wojnę w pokój i podał cesarzowi Francuzów myśl nowych zupełnie propozycji. Otóż propozycje te zasadzać się mają na tém, że cesarz Napoleon wystąpi z manifestem do mocarstw, głównie zaś do Prus, żądając powszechnego rozbrowienia. Dla dopięcia tego celu ustanowiona być ma osobna komisja międzynarodowa, której obowiązkiem będzie czuwać nad sumiennym dokonaniem postanowionych rozbrowień. Jako dowód że cesarz Napoleon rzeczywiście dąży do uspokojenia powyższego planu, dzienniki zaznaczają zupełny przewrót polityki francuzkiej we Włoszech. Nietylko włoscy korespondenci z Turynu i Florencji, ale nawet i francuzkie pisma, jak Gaulois, przemawiać zaczynają, jako o fakcie wiarogodnym, o opuszczeniu Rzymu przez Francuzów. Zapowiadają że między Francją i Włochami zawartą została umowa w d. 18 września, na mocy której Francuzi opuszczają wieczne miasto i zostawiają papieżstwo własnemu losowi. Nie ręczymy za wiarogodność powyższych pogłosek.

Stan Hiszpanii niewiele się zmienił w bieżącym tygodniu. Po usunięciu Burbonów i ustaleniu się niejakiemu rządowi tymczasowemu z marszałkiem Serrano na czele, władze przygotowują wybory i zebranie się kortezów, którzy w ostatecznej instancyi zawyrokować mają o nowej formie rządu dla półwyspu. Powiedzieliśmy już w zeszłym przeglądzie naszym, że żaden z Burbonów nie może karmić się nadzieją osiągnięcia korony; wspomnieliśmy także iż mała garstka republikanów nie zdoła zwyciężyć na wyborach i że prawdziwymi kandydatami do tronu hiszpańskiego mogą być tylko król portugalski i książę Aosta. Otóż dziś, według bieżących pogłosek, nowy przybywa pretendent; jest nim generał Prim, znany także pod nazwiskiem hr. Reuss. Prim, rodem z Katalonii, z rodziców stanu średniego, własną zasługą dobił się dostojenstw i zaszczytów. Nie dzi-

wi więc nas że Katalonia radaby widzieć swego bohaterę na tronie, nie szczędząc mu okrzyków „Viva Prim el imperador!” lecz usposobienie jednej prowincji nie może być branym zamiar ogólnego usposobienia. Są w Hiszpanii ludzie zasłużeni od Prima, a i ci nie mogliby liczyć na poparcie całego kraju. Powiadają że Prim znany jest osobiście cesarzowi Francuzów i że ten ostatni chętnie widziałby go na tronie; naszym zdaniem wszakże, są to przypuszczenia bez żadnej podstawy i wagi. Rząd francuzki nietylko że nie ma prawa, ale i nie może mieszać się do wewnętrznych spraw półwyspu iberyjskiego, a dzieje Napoleona I i wojny hiszpańskiej dostateczną są dla jego następców przestroga i nauka. Być jednak może iż w dalszym rozwoju wypadków w Hiszpanii wypłynie na wierzch dyktatura Prima, lecz formy, warunków i trwałości jej nikt dziś przewidzieć nie może.

Przewidywane oddawna surowsze wystąpienie gabinetu wiedeńskiego przeciw Czechom spełniło się. Urzędowa Wiener Ztg. z d. 11 b. m. zawiera rozporządzenie, dotyczące ogłoszenia stanu wyjątkowego w Pradze z przedmieściami. Jednocześnie gazeta urzędowa zamieszcza i drugi dekret, uwalniający od obowiązków barona Kellersperga, dotychczasowego Czech namiestnika. Kierunek rządu powierzono feldmarszałkowi porucznikowi Koller. Powodem zaprowadzenia praw wyjątkowych były, jak wiadomo, ciągle schadzki i zgromadzania się publiczne, naruszające porządek i hałaśliwość uczestników i dosadnością postanowień. Zgromadzenia te miały wszakże miejsce i na drugi dzień po ogłoszeniu dekretu, dowiadujemy się bowiem że w dniu 12 b. m. na ulicy Śmichowej, oddział huzarów obsypany został przez lud kamieniami, tak że dopióro kolumna piechoty usunęła tłumy. Nowy namiestnik zapowiedział burmistrzowi, że w razie powtórzenia się zbiegowisk, użyje broni. Na sejmie krajowym w Tyrolu opozycja przeciw nowym prawom dotyczącym kościoła i szkoły, wystąpiła z taką gwałtownością, że namiestnik z polecenia cesarza zamknął natychmiast posiedzenia i objawił, że nowe prawa muszą wejść w wykonanie i w Tyrolu.

Tak więc ze wszech stron mnożą się kłopoty wewnętrzne rządu wiedeńskiego, paraliżując go przytém i w polityce zagranicznej. Dzienniki przypuszczają, że wszystkie te zajścia zakończą się porażką centralistów, wyrzeczeniem się przez Austrią niemieckiego stanowiska i wkroczeniem na drogę rzeczywistej federacji krajów wchodzących w skład monarchii austriackiej. Nowe prześladowania jakich doznali austriacy żydzi w Galaczu, wywołały wdanie się rządu. Książę rumuński udzielił gabinetowi wiedeńskiemu natychmiastowe zadosyćuczynienie. Z Konstantynopola nie odebrano w Wiedniu nowych szczegółów, dotyczących odkrytego spisku na życie sułtana. Wiadomo tylko, że śledztwo toczy się tajemnie i że syn poprzedniego sułtana zupełnie jest niewinnym; spiskowi bowiem działać mieli w jego imieniu, lecz bez jego wiedzy. Na prośbę Kandyotów podaną do rządu angielskiego o przyjęcie Kandy pod opiekę brytańską, gabinet londyński odpowiedział odmownie.



KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Panu J. K. w Krasnymstawie. Imiona własne bezwarunkowo odmieniać się powinny, nietylko w trzecim, ale we wszystkich przypadkach. Jest to właściwość naszego języka, której pozbawiać go nie należy.

Panu E. T. w Rydze. Pozostałego rubla użyliśmy według wskazania. Żebraków Bartelsa, wraz z opisem, umieścił Tygodnik w N. 40 seryi drugiej.

Panu A. D. w Petersburgu. Popieramy najusilniej czystość języka; w poważnych jednak roztrząsaniach naukowych i literackich bez obcych wyrazów obejść się niepodobna. Co do pi-

sowni imion własnych obcych nie zgadzamy się z pańskim zdaniem.

Panu Wł. D. w Krzywonosiu. Adresu pana L. nie posiadamy, wątpliwości więc pańskiej co do portretu Gertrudy Komorowskiej rozstrzygnąć nie możemy. Płowce już w r. 1863 zamieszczone były w Tygodniku. Nadesłana kopia wizerunku św. Cecylii nie daje żadnego wyobrażenia o oryginale, trudno więc poznać z niej autora. O przyrządzone artykuły uprzejmie prosimy.

Panu M. E. w Warszawie. Przesłana wiadomość o teatrze amatorskim wtedy tylko ogół interesowaćby mogła, gdyby wymienione było miejsce w którym odbyło się rzeczzone widowisko.

Panu Z. O. w Kalinku. Typów o jakich pan wspomina, dostarcza nam już jeden z artystów-amatorów, w tamtych stronach zamieszkały. Za chęć życzliwą szczerze dziękujemy.

Panu J. A. W. K. „Garbusek” drukowany nie będzie. *Pannie M. O. w gub. podolskiej.* Nadesłany wierszyk nie dorównywał prostotą i wdziękiem pierwszemu. Oddaliśmy go redakcyi kalendarza Ungra. O inne próbki kiedy niekiedy prosimy.

TESKNOTA.

Poczyna się życie swobody uśmiechem,
Anielskiej harmonii rozdzwiękiem czystem,
I róże przyszłości gdzieś kwitną za mgłą.
Na falach promienia snem szczęścia to życie,
Konwalie i fiołki rozsięwa o świecie,
Poczyna się śmiechem, a kończy się — łzą.

Nim pierzchną tumany, nim wejdzie południe,
Uwiedną te wieńce kwitnące tak cudnie
I w niebo anielski odwionie się ton.
I cóż więc zostanie po blaskach marzenia?
Westchnienie tęsknoty wśród kwiatu wspomnienia,
Rzewliwe jak nuta z rodzinnych nam stron.

Jak odbłask po słońcu szkarłatny a złoty,
Jak sen, co maluje aniołów pieszczoty,
Jak kwiat, co w jesienny rozwija się dzień:
Tak urok wspomnienia w swęj cichęj rzewności...
Lecz sen to jest tylko piękniejszej przeszłości,
Promieni, uśmiechów i kwiatów jej cień.

Lecz dźwięk to jest tylko stłumiony, omdlały,
Tych czarów pieśniowych co z nieba nam wiały,
To z gajów różanych przywiana jest woń.
Bo przeszło już wszystko — i w chmurnej przestrzeni
Ostatni promyczek na niebie jesieni,
Ostatni już kwiatek pochylił swą skroń.

Rzewliwe i łzawo. Dzień mija jak we śnie,
Do nieba daleko, na ziemi boleśnie;
Gdzież sercu ucieczka, spoczynek wśród burz?
Na ziemi, w tym czyściu skalania i grzechu,
Ni prawdy promienia, ni szczęścia uśmiechu.
Zadumał się anioł, skrzydlaty mój stróż.

I wskazał w tumanach, na szczycie opoki,
Krzyż Boga skrwawiony, podniesion w obłoki:
„Ucieczka, nadzieja i spokój nasz — tam!”
Daleka, nużąca, bolesna to droga,
Lecz święta ofiarą, przebyta przez Boga,
I przecież od pieluch gościniec ten znam.

A znam też ja Boga? Przeczulałam w zadumie
Głos Jego przeświety w nawalnic tych szumie,
W milczeniu tak dumnym ostępów i skał,
W przezroczu tej nocy gwiazdami olśnionej,
W kielichu tej lilji nad źródłem schyłonęj
I w gwiazdach, na które obłoczek się zwał.

I w serca tęsknocie przeczułam ja Boga;
Więc pójdę, gdzie jasność, gdzie cisza tak błoga,
Drogami ofiary do Ojca pod krzyż.
Tam spokój miłości, tam myśli o niebie.
Mój Boże! mój Ojcie! o wznies mnie do Siebie,
Lub łaski Swój promień do duszy mój zbliż!

Adela Hanicka.

MAŻ UPATRZONY,

POWIEŚĆ Z ŻYCIA W DWÓCH CZĘŚCIACH,

przez
Jana Zacharyasiewicza.

Część pierwsza.

(Z rysunkami Antoniego Zaleskiego.)

I.

Nim ś. p. pan Witalis oczy nazawsze przymknął, kazał sobie trzy poduszki pod głowę położyć i rzekł do swego syna Jana Nepomucena, którego dla odróżnienia od Jana lokaja i Janka pokojowca Nepciem nazywał:

— Drogi mój Nepciu! Doktor Abydon czyli Abdon popowiada, że trzeba umierać, a ojciec Celestyn mówi, że wypada mi przenieść się na drugi świat i tam przed Panem Bogiem stanąć. Głupia to będzie sprawa moja, gdy Pan Bóg zapyta mnie: Cóżes Witalisie przyniósł z sobą? A ja na to odpowiem: Nic nie przyniosłem, tylko grzeszną duszę, bo wszystko inne zostawiłem Nepciowi, memu najukochańszemu jedynakowi. Zostawiłem nad Sanem i nieco grosza uciulanego; zostawiłem ładne nazwisko, do którego prawdę powiedziawszy, nic nie dorośliem. Ojciec Celestyn powiada, że to także jest grzechem, ale ja inne mam o tem zdanie. Ludzie lepszych rodów nie żyją każdy z osobna, jakby było jakie. Na jedno nazwisko składa się kilka generacji. I tak pradziad nasz, ś. p. Jaśko z Mielnicy, zasłużył się Panu Bogu i krajowi, zaco otrzymał zaszczyty i kawał pszenicznej ziemi. Cztery generacje po nim wprawdzie nic nie zrobiły, tylko wskromności ducha spożywały sławę i pszenicę z zagospodarowania Jaśka.



Nepcio.

Ja także nic nie dorośliem, bo preferans, którego grałem wyśmienicie, i diabełek, w którym nie byłem szczęśliwy, nie wchodzi, jak mówi ojciec Celestyn, w rachunek. Ale to niema nic do rzeczy. Ubodzy mimo to nie jesteśmy. Niech tam co chcą pisać ci co książki piszą, bo już ci ludzie gardłować muszą, dwie wioski nigdy ubogim nie czynią. Ale jedna rzecz, kochany Nepciu, może naszą piątą ge-

neracją zaprzepaścić, to jest: złe ożenienie się. Radzę ci więc abyś się śpiesznie i dobrze ożenił. Nie ograniczam twojej woli w niczem, ale to ci mówię: weź sobie taką żonę, któraby się nie wszystkim, tylko tobie jednemu podobała. To jest sekret matrymonialnego szczęścia; mój ś. p. rodzic był także tego samego zdania. A teraz bądź zdrow i pamiętaj raz do roku, na św. Witalisa o mojej grzesznej duszy.

Rzekłszy te słowa, pan Witalis obrócił się do

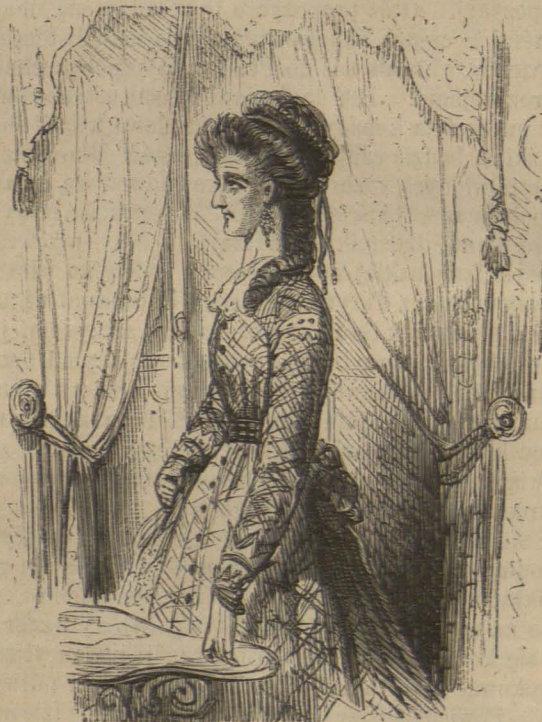
bie rokować, ale dla kobiety stanowiły one fatalny posag od matki natury.

Gdy na krzyk Nepcia do łóżka się zbliżyła, stanęła w pełnym oświeceniu, obrócona twarzą do okna. Długi jej nos spuszczał się dosyć głęboko ponad usta wąskie i z jakąś goryczą zakąszone. Złamana od nosa linia wysunęły się brwi nijakiego koloru, ostrym, gotyckim łukiem. Oczy podługne, mocno świejące, koloru żółto-modrego, tworzyły podobną do brwi linia, która na wysokim czole w lekkich zmarszczkach jeszcze kilka razy się powtarzała. Ubranie jej było staranne. Domowy szlafroczek ze szkockiej materii okrywał z wszelkimi wymaganiem sztuki jej wątłe kształty. Bujne loki i loczki okrywały mocno markowaną głowę.

Do obrazu z żywych osób, który się teraz przy nieżywym już panu Witalisie utworzył, należał słusznie i Nepcio, spadkobierca nazwiska i dwóch wiosek nad Sanem. Był to młody, przystojny chłopiec, mający lat dwadzieścia cztery. Mimo całej tragiczności chwili, ubrany był z szykiem, według ostatniego paryskiego żurnalu. Miał na sobie ekscentrycznie krótką kurtkę z świecącymi guzikami i eleganckie, również świejące kamieszki. Twarz jego była dość regularna, ozdobiona w samym środku małemi, czarnymi wąsikami, starannie do góry podtrzymywanymi. Mała brodka, naśladowująca Napoleona, zakrywała koniec brody i odbijała się

dosyć zgrabnie na szeroko wyłożonym, angielskim kołnierzyku.

Grupa ta stała czas niejaki nieporuszona w postawach raz zajętych. Staruszka wysunęła głowę naprzód i z wyrazem prawdziwego smutku patrzyła na zbiegające oblicze śp. Witalisa. Młodsza kobieta przebiegła szybkim wejrzeniem twarz nieboszczyka i zwróciła oczy na pochylone czoło Nepcia, który w ziemię



Ciocia Euzebia.

patrzył...

Byłoby to nader ciekawą rzeczą, zajrzeć każdej osobie z tej grupy pod czaszkę i obaczyć, co ono też myśli. Już to prawdopodobnie śp. Witalis nie w tej chwili nie myślał, zwłaszcza że i za życia nigdy tego nie czynił. Staruszka prawdopodobnie także nic nie myślała, bo głęboki żal i smutek mają to do siebie, że na niejaki czas pozostają

ściany i tak głęboko westchnął, że wraz z tem westchnieniem frunęła dusza pod sufit i już do swego ciała nie wróciła.

Nepcio stał długi czas przy łóżku rodzica i nasłuchiwał, czy usta jego jeszcze nie przemówią, bo rzecz o ożenieniu się była dla niego bardzo ciekawa. Ale pan Witalis nie lubił się w rozmowie powtarzać, a rozmowę z synem snadź uważał za wyczerpaną, jeśli duszę z piersi wypuścił. Zresztą był przekonany, że Nepcio ma rozumek nielada, a jeżeli czego mu braknie, to w rodzie zawsze się ktoś znajdzie, który mu ten brak uzupełni, jak tego uczyła tradycja dawna. Mógł więc spokojnie złożyć karty preferansowe i swoim sąsiadom powiedzieć: Nie pomagam!

Po chwili przyszedł Nepcio do przekonania, że ojciec już umarł. Krzyknął więc z wielkiego żalu i przestachu.

Na krzyk jego weszły do komnaty dwie kobiety. Jedną z nich była to staruszka, podpierająca się laską. Na głowie miała koronet z czasów restauracji tronu francuskiego. Na nosie czerniły się okulary szyldkretowe, a w rękę trzymała chustkę.

Druga kobieta była nierównie ciekawszą. Już nie pierwszej młodości, wyglądała jednak na osobę, która się jeszcze nie pozbyła pretensyj do świata. Nie przekroczyła jeszcze wprawdzie fatalnego czwartego krzyżyka, ale zdaje się że stała już na samym jego progu. Z ubioru jej i ruchów dość młodzieńczych sądząc, można było wnosić, że nie chciała się wcale przyznać do tego, ale trzymała się gwałtem owego przez Balzaka dla kobiet wytargowanego wieku, w którym wolno im jeszcze czasem, w braku młodszych, uchodzić za bohaterki romansu. Wprawdzie akcesorya do tej roli nie były szczęśliwe. Wzrost miała dosyć słuszny. Twarz jej blada świeciła się jak skóra pergaminowa. Wszystkie linie na tej twarzy były w stylu gotyckim. Żadna z nich nie zaostrzała się do jakiegoś przyjemnego wrażenia sprawającego kształtu; wszystkie łamały się w ostrych kątach. Mogły one oznaczać wysoki rozum, silną wolę, nieugiętą energią, ale pociągającego w nich nic nie było. Gdyby te rysy miała twarz jakiego meża stanu lub dyplomaty, możnaby o nim wiele so-

wiają człowieka zupełnie bez myśli. Młodsza zaś kobieta zachowała cały spokój, który do myślenia konieczny jest potrzebny. Mogła więc puścić wodze myślom swoim, a po blasku jej oka i ruchliwym czole widać było wyraźnie, że to czyniła. Twarz jej nawet ożywiła się przy tych myślach. Nie wpływały one snadź z widoku który miała przed oczyma. Po nad zbielełą twarz pana Witalisa pomknęły one gdzieś daleko, zawiązały po drodze kilka pasem marzeń i utonęły w obłokach... Były nawet między nimi i przyjemne, bo kilka razy odbiło się to na twarzy i w oku.

Nepcio patrzył w ziemię, czyli raczej na dywan, który leżał przed łóżkiem. Zdaje się że śmierć rodzica sprawiła w jego głowie pewną pauzę, z której nie umiał sobie zdać sprawy. Było w tej pauzie wszystkiego potrosze. Było trochę smutku i żalu po sędziwym i dobrym ojcu; było znowu coś radości niewinnej z powodu odziedziczenia dwóch wiosek i możliwości zapłacenia sekretnego długu u propinatora Herszka, który już jawnością kilka razy groził, były w końcu potracone przez nieboszczyka myśli o dobrém, a co lepiej, rychtém ożenieniu się, których także tak łatwo, nawet przy trumnie ojca, na bok odsuwać nie można.

Wszystko to razem zebrane stanowiło wprawdzie jakiś chaos uczuć i myśli, ale chaos ten był w takim stanie rzeczy potrzebny i na swoim miejscu. Nepcio więc wypełniał należycie obowiązki roli, jaką nadał mu smutny wypadek.

Grupa to byłaby może dłużej jeszcze wytrwała w tym stanie nieruchomym, gdyby ojciec Celestyn nie był wszedł w tej chwili do komnaty z brewiarzem w ręku, a przekonawszy się o istotnem zejściu z tego świata śp. Witalisa, nie zaprosił wszystkich obecnych aby uklękli i za spokój duszy nieboszczyka razem z nim modlitwę odmówili.

Wszyscy więc ocknęli się na te słowa. Staruszka westchnęła i otworzyła książkę, którą w ręku trzymała. Młodsza kobieta oderwała nagle oczy od czoła Nepcia, a twarz jej woka mgnienu przybrała inny wyraz. Spojrzała na zbielełą twarz nieboszczyka, załamała rękę i całą swoją uwagę poświęciła jemu. Wyjęła z szlafrocza chustkę batystową i przyłożyła ją do oczu; potem zsunęła się na posadzkę i powtarzała modlitwę za księdzem.

Nepcio także ocknął się na głos księdza Celestyna. Podniósł oczy z ziemi, a przyznać należy że te oczy wilgotne były od łez. Spojrzał jeszcze raz na zbielełą twarz ojca, spojrzał po kłęczących kobietach i sam niebawem poszedł za ich przykładem.

We dwa tygodnie po tym smutnem zdarzeniu weszło wszystko we dworze w ruch zwyczajny. Wprawdzie brakło w machinie gospodarstwa pana Witalisa, ale snadź nie miał on tam wielkiej roli, kiedy bez niego gospodarstwo obejść się mogło. Był rzadca ekonom i propinator, a ci uzupełniali się wzajem. Tylko stół preferansowy i kilka talij kart francuskich leżały opuszczone, co było najoczywistszym dowodem, że zbrakło już pana Witalisa...

Została wprawdzie babcia, najwyższa powaga domu, matka nieboszczki żony ś. p. Witalisa; ale ta nie mieszała się do gospodarstwa. Czytała Żywoty świętych i odmawiała codziennie modlitwy do Przemienienia Pańskiego. Pytała często, co tam Napoleon porabia, i widocznie nie była z niego zadowolona. Przepowiadała mu taki sam koniec, jaki miał stryj, który był mędrszym od niego.

Duszą całego domu i gospodarstwa była ciocia Euzebia, owa młodsza kobieta, którą widzieliśmy przy łóżku nieboszczyka Witalisa. Przyjechała do dworu już podczas słabości pana Witalisa. Była to stryjeczna jego siostra, która jako sierota, mająca

jednak jakiś kapitalik, tułała się po krewnych. Ciocia Euzebia, mimo tego kapitaliku i lat trzydziestu sześciu lub siedmiu, była jeszcze panną. Jakim sposobem to się stało, trudno odgadnąć. Jedni mówili że panna Euzebia, była sawantką, miała wielki rozum i dlatego nie poszła za mąż, że u konkurentów swoich nie znalazła ani rozumu, ani wykształcenia. Przebiegała więc długi czas i osiadła w końcu na koszu.



...odsunęła z ławeczki ogon swojej sukni...

Latka szły za latkami i ani się spostrzegła, gdy mimo niej przemknęła trzydziestka. Panna Euzebia straciła wtedy wiele na swojej powierzchowności, ale zato wstąpiła w nią jakaś nieznana dotąd ruchliwość. Stała się prędka, niecierpliwa. Każda chwila ubiegająca napróżno, dręczyła ją. Szukała ustawicznie jakiegoś zatrudnienia i gniewała się, jeśli inni próżno-

zesłał na pociechę i pożytek domu, którymby Nepcio jeszcze nie potrafił kierować.

Pannę Euzebię nazywano powszechnie ciocią. Dla Nepcia była ona rzeczywistą ciocią. Tej nazwy jednak nie przyjmowała nigdy z ust Nepcia, tylko kazała się wołać: kuzynko, a Nepcia wzajem kuzynkiem nazywała.

Nepcio ze swojej cioci bardzo był zadowolony. Śmierć ojca zwała mu na głowę wiele kłopotów. Musiałby sobie odmówić niejednej przyjemności, trzymając w ręku wodze gospodarstwa. Zresztą trudnoby mu nawet było odpowiedzieć wszystkiemu, mimo najlepszych chęci. Ś. p. pan Witalis podzielał w zupełności zdanie swojej nieboszczki żony, że Nepcio jest delikatnej natury i że dlatego nie trzeba go męczyć ani nauką, ani pracą. Niewiele więc się uczył, jeszcze mniej pracował, a najmniej umiał sobie sam w jakim położeniu dać radę. Niewymownie więc cieszyło go, że w domu jest ktoś, któremu płacić nie trzeba, a który sumiennie od zapłaconego sługi czuwa nad gospodarstwem.

Dwa więc tygodnie miał Nepcio zupełnie wolne, a mógł cały ten czas poświęcić roztrząsaniu słów umierającego ojca. O preferansie i diabełku długu nie myślał, bo to nie był wcale temat do myślenia. O filozoficznem zapatrywaniu się na żywot znakomitszych rodów nie było także co myśleć, bo Nepcio nie chciał tu być nowatorem, tylko postanowił iść drogą czterech generacji, to jest: konsumować ze smakiem to, co jeszcze ś. p. przodek Jasko z Mielnicy krwią i pracą wygospodarował.

Pozostała tylko trzecia rzecz, na którą nieboszczyk zwracał jego uwagę, to jest dobre, a co lepiej, rychłe ożenienie się. Ta myśl zajmowała go najwięcej, i całe te dwa tygodnie poświęcił jej wyłącznie.

Aby do tej myśli jaknajprędzej się cynam zastosować, molił sobie Nepcio głowę we dnie i w nocy i tworzył najrozmaitsze plany. A że ludzie którzy coś w głowie tworzą, radzi szukają samotności, przeto i Nepcio instynktowo prawie chodził po najodleglejszych polach i łąkach, przebiegał knieje lesiste i samotne ścieżki ogrodu dworskiego. Mięwał wtedy głowę zawsze na dół spuszczoną, albo dla odmiany patrzył gdzieś w gwiazdy.

I zdarzyło się w tym czasie, że pewnego pięknego poranku, wypiwszy kawę z kożuszką, zapalił cygaro i według swego zwyczaju udał się na samotną przechadzkę. Tym razem nie wybrał ani kniei leśnej, ani żadnego parowu ponad potokiem, ale tylną ścieżkę w ogrodzie, mocno ocienioną krzewami młodych lip i akacyj. Była to ścieżka dosyć oddalona od budynków i jakby naumyślnie na to przez śp. pana Witalisa założona, aby błędzemu w samotności Nepciowi dodać jakiego szczęśliwego konceptu.

Otóż na tę ścieżkę wstąpił teraz Nepcio. Cygaro paliło się wybornie, kawa była smaczna, niebo świeciło pogodą, a przed oczyma jego rozciągał się widok niebardzo wprawdzie romantyczny, ale miły zato dla serca kołysaniem się dorodnych kłosów, które żłte i związane w snopki, mogły przynieść kilkadziesiąt tysięcy złotych. Jakże tu nie rozkoszować się, nie zachwycić takim widokiem!

A jednak Nepcio nie rozkoszował się nim w tej chwili. Wierny ostatniej woli rodzica, myślał o dobrém i rychtém ożenieniu się, i ta myśl, jako czarna plama, zasłaniała mu widok.

Przy końcu ścieżki po której szedł teraz, była mała altanka, a raczej ławeczka, otoczona dzikim chmielem. Na tej ławeczce nikt nie zwykł siadywać, bo stała bardzo na ustroniu, nie miała przed sobą żadnego widoku, a niskie położenie ogrodu w tym miejscu napełniało powietrze jakąś nieprzy-



Siedziały obie w oszklonym ganku.

wali. Najrozmaitsze myśli i plany zaprzętały ustawicznie jej głowę: była w nich prawdziwie niewyczerpana.

Taki nabytek dla osieroconego domu był nader korzystny. Panna Euzebia jednym rzutem oka ogarnęła położenie i zakreśliła plan dalszego postępowania. Ujęła wszystkie rozbiegłe nitki gospodarstwa w swoje ręce, a babcia dziękowała Panu Bogu, że ją

jemną wilgocią. Ciocia Euzebia, która w ogrodzie staranne porządki zaprowadziła, zaniedbała do szczeru tę ławeczkę. Porosła mchem zielonym i nieprzejmennie woniejącymi grzybami.

Nie mało więc zdziwił się Nepcio, gdy idąc tą ścieżką samotną i odosobnioną, spostrzegł nagle przy ostatnim zakręcie ziemię starannie wygracowaną. Pomyślał sobie, że prawdopodobnie ogrodnik, widząc go chodzącego tą ścieżką, chciał mu się przysłużyć i zarosłą zielskiem drogę oczyścić. Przyjemnie mu było stąpać po świeżo spulchnionej ziemi. Rozkoszniej paliło się jego cygaro, a nawet i marzenia snuły się snadniej.

A marzenia jego odnosiły się w tej chwili do ostatniej woli nieboszczyka ojca, aby ożenił się dobrze a rychło. Stosownie więc do tej woli marzył Nepcio o jakiejś rozkosznej blondynie, albo szatynie, ubraniej w szeroki balon, któraby spuściła się nagle ku niemu z wysokiego nieba, albo wyskoczyła z pod ziemi, lub przynajmniej wyszła z pomiędzy gęstych krzaków klombu...

To jednak nie nastąpiło; ale inny niespodziewany widok wprowił go w tej chwili w niemałe wzruszenie.

Na samym końcu ścieżki, w tym właśnie miejscu, gdzie była ławeczka dzikim chmielem ocieniona, mignęło mu coś białego przed oczyma. Nepcio stanął na chwilę, aby tego zjawiska nie spłoszyć. Ale zjawisko nie spłoszyło się bynajmniej, owszem spokojnie usiadło na ławeczce, za szerokimi liśćmi chmielu. Nepcio myślał chwilę i nic nie wymyślił. Postawił jedną nogę naprzód i powtórzył to kilka razy: zjawisko nie zniknęło wcale. Nepcio odchrząknął głośno i zakaszał — biała postać nie ruszyła się z miejsca. Postanowił więc dotrzeć aż do ławeczki ochmielonej.

Uszedłszy kilkanaście kroków, ujrzał wyraźnie kobietą postać siedzącą na ławce i czytającą coś w książce. Białą neglig, nadzwyczaj staranną, nie pozwałał mu przypuszczać, że to była panna służąca. I kiedy jeszcze sam nie wiedział, jak sobie to zdarzenie wytłumaczyć, podniosła biała kobieta głowę na szelest sprawiony przez Nepcia i spojrzała na niego. Była to ciocia Euzebia, czyli Zebcia, jak ją przed laty dwudziestu pułkownik Kalasanty nazywał.

Spojrzała z uśmiechem na przestraszonego nieco Nepcia i odsunęła z ławeczki ogon swojej sukni, na znak aby przy niej usiadł. Przekonawszy się, że to rzeczywiście jest ciocia Euzebia, rozśmiał się Nepcio i siadając rzekł do niej:

— Nabawiła mnie ciocia niemałej alteracji. Nie spodziewałem się tutaj cioci.

— Najprzód, mój ty kochany Nepciu, raz na zawsze proszę cię, abyś mnie ciocią nie nazywał. To słowo „ciocia“ kładzie jakąś dziwną barierę między nas, jaka przecież być nie powinna.

— A prawda, zapomniałem, przepraszam ciocię. Otóż obaczywszy tutaj „kuzynkę“, myślałem, że jedno z moich marzeń, któremi właśnie zaprzątiony byłem, spadło z nieba na ziemię, aby żywcem moim oczom się przedstawić.

— O czymże marzyłeś, kochany kuzynku? zapytała ze słodkim uśmiechem ciocia Zebcia, bawiąc się książką.

— Myślałem o ostatniej woli nieboszczyka ojca, odparł z tragiczną miną Nepcio.

— Nacóż w tak pięknym, pogodnym dniu myśleć o testamentach nieboszczyków?

— Zdaje mi się, że powinien być posłusznym woli ojca, jak na prawego syna przystoi.

— To bardzo pięknie z twojej strony, Nepciu; ale przecież te smutne myśli i obowiązki można schować na czas późniejszy. Widzisz kuzynku, jak to słońce pięknie świeci, jak te liście dzikiego chmielu drżą z radości, że Bóg wszechmocny pozwolił im życia. Pocóż w takim dniu zasnąć czoło?

— Moje marzenia nie są takie smutne, jak się cio... kuzynce zdaje.

— Nie smutne? To powiedz mi je, kochany Nepciu. Wiész że ci serdecznie sprzyjam.

— Oto marzę o tym, jakby się dobrze i rychło ożenić. Wszak to nie smutne marzenie cio... kuzynko?

— Ożenić się? Dobrze i rychło? ciągnęła powoli ciocia Zebcia, upuszczając książkę na kolana.

— Tak jest, to ostatnia wola nieboszczyka ojca, odparł stanowczo Nepcio.

Na te słowa posmutniała nieco ciocia Zebcia.

A może to był tylko cień dzikiego chmielu?... Po chwili wzięła napowrót książkę do ręki i przewróciła kilka kartek, jakby tam czegoś szukała.

— Ożenić się dobrze i rychło, rzekła po chwili z łagodnym uśmiechem, to nie jest rzeczą tak łatwą, jak się s. p. panu Witalisowi zdawało. Ożenić się dobrze, to jeszcze pół biedy, ale ożenić się rychło i dobrze, nad tem trzeba się dojrzałe zastanowić.

Nepcio patrzył z uwagą na ciocię Euzebię, gdy te słowa zwolna, niby mówiąc do własnych myśli, wymawiała. Było to dla niego wielką pociechą, że ciocia Euzebia tak głęboko nad jego przyszłym szczęściem się zastanawia. Wdzięczny jęł był w duszy za udział, jaki bierze w jego przyszłych losach.

— Otóż bardzo się z tego cieszę, zawołał radośnie, całując ciocię w rączkę, bardzo się cieszę, że tak jakoś przypadkiem zgadło się o tem, bo przecież cio... kuzynka, jako starsza i doświadczeńsza odemnie, poradzi mi coś w tym krytycznym przypadku.

Ciocia Euzebia zmarszczyła czoło. Niewiedzieć czy ją co gniewało, czy tak głęboko zamyśliła się. Po dłuższej chwili milczenia, odłożywszy książkę na kolana, skrzyżowała ręce i rzekła:

— Słusznie bardzo nazywasz mnie starszą i doświadczeńszą. Rada moja może tylko korzystną być dla ciebie, mój drogi kuzynie. Nie uwierzysz jak drogo nieraz w życiu trzeba opłacać każde doświadczenie. A ile skarbów z drugiej strony przynosi nam osoba, która częścią przez naukę, częścią kosztem własnego życia przynosi to doświadczenie i z nami niem się dzieli! Ale ludzie niezawsze umieją to ocenić...

— O nie myśl kuzynko, przerwał Nepcio, abym był tak niewdzięczny i nie umiał ocenić tego, co kuzynka w domu nam wszystkim ze swego doświadczenia i nauki dobrego przynosi. Alboż to ja naprzykład mógłbym przez dwa tygodnie chodzić po lasach i parowach, aby o ostatniej woli nieboszczyka myśleć, gdyby ciocia... gdyby kuzynka nie zajęła się całym domem, kuchnią i gospodarstwem? Czyż ja bym wiedział o tem że ekonom pszenicę ukradł, gdyby kuzynka nie kazała wybić ogrodnika, który dopiero z bólu i ze wstydu wszystko wyśpiewał?... Czyż nie wystarcza to do uznania...

— Wistocie, mój kuzynku, przerwała ciocia, to wszystko rzeczy drobnej wagi. Ale są sprawy daleko wyższe, jest cała droga życia, na której potrzeba takiego towarzysza, co nietylko jest nam radą i pociechą...

— Wszak nigdy o tem nie myślałem, wtrącił Nepcio, aby kiedykolwiek miała cio... kuzynka dom nasz opuścić. Przeciwnie, wszystkie myśli moje i marzenia nie idą samopas, bez kuzynki. Zawsze myślę sobie: trzeba się cio... kuzynki poradzić, bo już ci, kto tyle w świecie żył co kuzynka i tyle książek polskich i francuzkich przeczytał, ten daleko więcej odemnie umie i w każdej sprawie potrafi lepszą dać radę.

— Dlatego proszę cię, jeżeli chcesz, kochany kuzynku, aby rady moje dobry skutek ci przyniosły, nie miej żadnej tajemnicy przedemną. Wyobraź sobie że jestem twoją siostrą, która cię kocha, może więcej niżeli brata. W moim sercu ty jesteś na pierwszym miejscu. Nikt przed tobą nie zajmował nigdy tego miejsca...

Nepcio rozczulił się tą życzliwością cioci Euzebi. Sięgnął po jej rękę i ucałował ją serdecznie. Ciocia Euzebia trzymała długo jego rękę, patrzyła w jego twarz z wielkiem rozczuleniem i kilka razy głęboko westchnęła.

— Dziękuję ci, rzekła po chwili, dziękuję ci za to przyjazne dla mnie usposobienie. Dla sieroty wielkie to szczęście, jeżeli takie uczucie znajdzie na świecie.

Powstrzymując jednak nagle swoje wzruszenie, zwróciła się ku niemu i zapytała:

— I cóż wymyśliłeś, chcąc spełnić ostatnią wolę ojca?

— Nie wymyśliłem nic, odparł ze zmartwieniem Nepcio, bo i cóż wymyśleć mogłem?

— Ja dam ci jedną wskazówkę, kuzynku, a po długiej mozesz się już niejako kierować. Dwoje niedoświadczonych ludzi nie powinno nigdy zawierać małżeństwa. Potrzeba żeby jedno z nich miało więcej doświadczenia...

— To prawda, nieboszczyk także wyraźnie mi to

powiedział, gdyśmy byli na wieczorku u pani prezesowej.

— Cóż ci powiedział? Zapewne to samo co i ja ci radzę, że najgorsze małżeństwo jest to, które w równym prawie wieku pobierze się, gdzie ani on, ani ona nie mają żadnej ręką szczęścia...

— Tak jest. Tatko mówił że gdy mąż i żona są jednego wieku, to nie mogą dłuższy czas żyć z sobą szczęśliwie. Potrzeba przynajmniej, aby żona była o jakie dziesięć lat młodszą.

Ciocia Euzebia uśmiechnęła się, wzięła znowu książkę do ręki i zaczęła kartki przewracać. Po chwili rzekła:

— Świętą prawdę powiedział nieboszczyk ojciec. Różnica wieku musi być zawsze między małżeństwem. Nieboszczyk był tego zdania, że mężczyzna powinien najmiej o dziesięć lat być starszym od kobiety. Gdybyś więc ostatnią wolę jego chciał sumiennie wypełnić, to powinienś jeszcze najmiej pięć lat poczekać... Przed dwudziestym bowiem rokiem nie radzę ci panny brać za żonę. Ty zaś musiałbyś w takim razie mieć trzydzieści.

— To znaczy sześć lat czekać! To niepodobna! Któżby tak długo samotnie chodził i dumał?...

— Jeżeli rada, czy raczej ostatnia wola nieboszczyka ojca jest ci świętą...

— To była rada tylko, a nie ostatnia wola.

— Zapewne zabrakło mu czasu, aby tę radę wciągnąć w rubryki ostatniej woli swojej...

Nepcio zamyślił się głęboko. Ciocia Euzebia patrzyła na niego z jakimś ironicznym uśmiechem.

— I cóż robić w takim razie? zapytał zafrasowany Nepcio. Przecież zgodzić się nie mogę na czekanie.

— Zdaje mi się, rzekła ciocia Euzebia, że na to byłby sposób. Tu chodzi tylko o różnicę wieku. Jeżeli więc ta różnica nie może istnieć z jednej strony, to niech będzie z drugiej...

Nepcia oczy rozświeciły się tą myślą szczęśliwą. Rozumowanie takie zdawało mu się bardzo naturalne. Ale za chwilę posmutniał, i westchnąwszy głęboko, odrzekł:

— To być na żaden sposób nie może. Fipcia ma lat szesnaście.

— Fipcia?... Fipcia? żywo podjęła ciocia, a czy jej zabłyśły nieukontentowaniem; z kąde ci znowu Fipcia przychodzi do głowy? To tak jesteś szczerym? Nic nie mówiłeś mi o Fipci.

Nepcio potarł się po czuprynie, podkreślił ostroźnie wąsiki i odparł:

— Widzi cio... kuzynka, o Fipci myślę już od dwóch tygodni. Zaraz przy łóżku nieboszczyka przyszła mi Fipcia przed oczy i stanęła przedemną jakby anioł biały. Nawet przyznam się, że obaczywszy w altance ten biały szlafroczek pikowy, byłem pewny że to Fipcia!... Aż tu rozczarowanie...

— Wszak panny Filipiny niema u ojca? przerwała szybko ciocia.

— Jest, jest, podjął Nepcio z nieudaną radością. Ogrodnik mi mówił...

— I cóż zamyślasz robić? Przecież po śmierci ojca wypadałoby jakoś zaczekać, bo przy żałobie...

— Uchowaj Boże, jabym tak zaraz nie oświadczał się. Ale pojadę jutro, niby z wizytą. Filipina przyjechała właśnie od ciotki i wypadałoby przywitać się z nią.

Ciocia Euzebia nic na to nie odpowiedziała, tylko zamyśliła się głęboko. Po chwili obojętnie spojrzała na Nepcia i przewróciwszy w książce kilka kartek, rzekła do niego:

— Jeżeli mówisz, drogi kuzynie, że żałoby po ojcu nie chcesz naruszyć i zaraz pannie Filipinie się nie oświadczyć, to nie mam nic przeciw temu, abyś tam pojechał i ją powitał. Radabym jednak abyś mi każde słowo powtórzył, które tam wymówione będzie.

— Nietylko słowo, ale nawet o każdym spojrzeniu zdam sprawę.

— Kto jest w żałobie po ojcu, ten nie powinien oczyma strzelać. W takim razie przystoi tylko wzrok w ziemię spuszczonej. Żałoba ma swoje prawa, a do dobrego tonu należy szanować te prawa.

Nepcio uznał słuszność tej rady cioci Euzebi i przyrzekł, że oczu od ziemi nie odwróci podczas wizyty w sąsiedztwie, z wyjątkiem tylko dwóch spojrzeń, któremi powita i pożegna Fipcię.

— Ale jeszcze jedna rzecz, kochany Nepciu, ówżala się ciocia po jakimś namyśle. Ty lubisz elegancko się ubierać i być zawsze wymuskany jak lalka fryzjerska. Ale ojciec Fipci strasznie tego nie lubi. Jeżeli chcesz sobie zarobić u niego na względy, których koniecznie ci potrzeba, to musisz tam przyjechać niby przypadkowo, w ubiorze gospodarskim, dosyć zaniedbanym. Nie bierz także faetonika, ani amerykańki, bo to wprawiliby pana Szymona w zły humor, ale siadź na wozie z bronami, lub na pługach, albo na beczkach, a w takim razie przyciśnię cię do serca i będziesz go już miał w kieszeni.

— Ba, a Fipcia? zapytał Nepcio z pewnym niepokojem w oczach, który odbijał się i na twarzy.

— Fipcia? odparła pogardliwie ciocia, co Fipcia? kuzynku kochany! Wszystkie Fipcie są dzisiaj tak praktyczne i prozaiczne, że przyjmą twoje oświadczenia, choćbyś i na furze przyjechał, jeśli tylko wiedzą, że masz dwie wioski i czystą kartę w hipotece.

Nepcio podziękował Euzebiei za trafne i zdrowe rady i przyrzekł wszystko to wykonać co do joty. Ciocia Euzebia przyjęła z całą serdecznością jego podziękowanie, tylko w oczach jej był jakiś wyraz ironii i smutku.

Chociaż wizyta u Fipci w życiu Nepcia stoi jako fakt odosobniony i na pozór żadnego nie ma związku z dalszemi kolejami losu jego, wyższe jednak psychologiczne względy każą nam ją wciągnąć w niniejszą powieść w całej jej obszerności. Są bowiem w życiu człowieka wydarzenia tak subtelnej natury, że na nie nawet uwagi nie zwracamy; a jednak wywierają one nieraz w dalszych swoich skutkach stanowczy wpływ na przyszłe nasze losy.

Wizyta u Fipci nie była wprawdzie tak subtelnej natury, bo nawet długo i szeroko mówiono o tém w sąsiedztwie. Było to zdarzenie w całym powiecie tak nadzwyczajne, że gdyby dzisiaj klasztory spisywały kroniki, to jedna ich karta byłaby niezawodnie poświęconą temu wydarzeniu. Należy więc najprzód zapoznać się z miejscowością tego wypadku.

O dwie mile od majątku Nepcia mieszkał pan Szymon, wraz z swemi dwiema córkami, z których jedna nazywała się Filipina, a druga Bibiana. W skróceniu wołano na jedną Fipcia, a na drugą Bibcia.

Pan Szymon, był to człowiek zamożny, który jednak dopiero pracą usilną przyszedł do tej zamożności. Dawniej chodził dzierżawami, a że był skrzętny i oszczędny gospodarz, po latach piętnastu kupił sobie dziedzictwo, a nawet i herb jakiś na słupach granicznych wymalować kazał, o czém jednak opowiadali sąsiedzi, że to uczynił za namową nieboszczki żony swojej.

Charakterystyczna to cecha wszystkich nowozbożonych domów, że w drugim już pokoleniu rozpoczyna się marnotrawstwo. Jest to rzeczą bardzo naturalną. Ojciec zbożcił się, bo był oszczędny i pracowity. Dzieci wychowywały się już z większemi pretensjami, a gdy dorosły, szukały dla siebie miejsca w towarzystwie, do którego majątkiem miały prawo należeć. Towarzystwo jednak nie przyjmuje tak łatwo nowych członków, z niższych warstw do niego się podnoszących. Potrzeba więc czémś się okupić, a przynajmniej przyswoić sobie wszystkie zewnętrzne cechy wyższego towarzystwa. To też w takich domach świeżo spanoszonych widać pozorny przepych aż do śmieśności. Pokoje, meble, służba galonowana, ekwipaże, wszystko to musi mieć cechę wielkiej pańskości. Studyują się zwyczaje i nawyki większych domów aż do drobnostek i wykonywają z największą skrupulatnością. Opowiadają o pewnej jejmości, której mąż przyszedł nagle do znakomitego majątku, że trzymając się zwyczaju większych domów dzwonienia na służących, gdy dzwonek się popsuł, nie wołała nigdy po imieniu lokaja, tylko udając głos dzwonka, wymawiała głośno: den, den, den!

Dom pana Szymona wchodził już na tę drogę. Wprawdzie pan Szymon, założyciel domu, był jak dawniej skrzętnym i oszczędnym gospodarzem. Na śniadanie pił kieliszek wódki i zakąsał kawałkiem chleba z masłem lub zimną pieczenią, jeżeli z wzo-

rajszego obiadu się została. Jeździł na prostym wózku i miał wielką słabość dla tych którzy podobnie czynili. W tym względzie rada cioci Euzebiei, aby Nepcio nie brał z sobą amerykańki, ani faetonika, tylko prostą furę i brony albo beczki do tego, była nadzwyczaj dobra i rozumnie obmyślana. Czyniło to zaszczyt cioci Euzebiei, że umiała z tego usposobienia pana Szymona korzystać dla Nepcia, w czém okazała wielką znajomość serca ludzkiego. Pan Szymon nie mógłby się w samej rzeczy Nepciem dość nacieszyć, gdyby obaczył go na bronach albo na beczkach siedzącego w jakim szaraczku, zamiast ubranego z szykiem, rozpościérającego się w amerykańce i poprawiającego co chwila lornetkę na nosie.

Fipcia i Bibcia były już drugą generacją nowo wzniesionego domu i posiadały wszelkie jej cnoty i przywary. Nie zyskawszy jeszcze należytego wstępu do równego majątkiem towarzystwa, chciały zewnętrzną ostentacją niejako *de facto* do niego należeć, a mając nad ojcem przewagę, przyprowadziły do tego, że dwór pana Szymona prezentował się z wszelkimi cechami arystokracji.

Wprawdzie cechy te mniemanéj arystokracji bywały nieraz śmieszne i nedoręczne. Chciano ludziom imponować nadzwyczajnością. Była to prawdziwie elegancja powiatowa. Jeżeli np. z Paryża przyszła moda noszenia przy sukniach ogonu pół łokcia długiego, to Fipcia kazała sobie zrobić ogon trzy łokcie długi. I wszystko egzagerowano w ten sposób i śledzono pilnie za najmniejszymi drobnostkami, których zaniedbanie znaczyło u nich niższość mienia i urodzenia.

Jakkolwiek Fipcia liczyła rok osiemnasty, a może i dziewiętnasty, a Bibcia o rok tylko była młodszą, miały jednak wyrobione już swoje zdania i zakreślały sobie naprzód przyszłe stanowiska.

Właśnie w tym samym dniu, kiedy Nepcio pod dwutygodniowych marzeniach o Fipci z wizytą do niej się wybierał, siedziały obie w oszklonym ganku na wielkiej, safianowej kozetce i patrzyły z pewnym przesytem próżniactwa na świat Boży przez szyby malowane. Różnica w ich patrzeniu była tylko ta, że Fipcia patrzyła przez szkło różowe, a Bibcia przez brunatne.

Fipcia miała prześliczną suknię, w duże szafirowe pasy atlasową robotą, z olbrzymim ogonem. Ogromny kok sterczał po za uszyna. Twarzyczka była dosyć miła, z lekkim kaprysykiem przy ustach. Bibcia, niższego wzrostu, miała twarz więcej okrągłą, a wejrzenie chmurne.

— Mówisz Bibciu, że Nepcio nie przyjedzie, rzekła Fipcia oskubując szerokolistny rumianek. A widzisz, wyszło mi, że mnie kocha. Już dwa razy wyrzuciłam listki i dwa razy to samo.

— A ja ci mówię, odparła Bibcia niby zamyślna, że czy przyjedzie, czy nie przyjedzie, to najedno wyjdzie. Tam jest koło niego ciocia Euzebia, a to kobieta, która nie darmo chleb i szpaki jadła. Ożeni go z jaką hrabianką lub księżniczką.

— Śmieję się z tego! odparła żywo Fipcia, niechby tylko przyjechał! Takbym go umiała obmotać niewidzialnemi więzami, jak mówi Balzac, że pewno z nichby się nie wywinął... Przecież to partya dosyć dobra, a u nas tak rzadko kto bywa. Tatko nie umie wyrobić sobie i nam stanowiska, a my przecież kobiety, nie możemy bez narażenia się opinii występować jako emancypantki i szukać sobie same kavalera, jak panna Walerya.

— Może zbyt wysoko cenisz swoje talenta. Dzisiaj mężczyźni tacy zimni, wyrachowani, egoiści...

— Nie Bibciu, tak nie jest. Serce pozostaje zawsze sercem, tylko często zmienia alfabet, za pomocą którego z niem się rozmawiać można. I tak np. czytałam nieraz w starych romansach, że dawniej do zamku księżniczki przyjeżdżał rycerz, który miał tylko konia i zbroję. Więcój nic a nic o nim nie wiedzano. A gdy na turniejach rywała z konia zwała, lub go innym sposobem poturbował, księżniczka spuszczała mu z balkonu wieniec, i bardzo często razem z wieniec obrączkę ślubną...

— Bo widzisz, moja Fipciu, wtedy nie było takiego porządku jak dzisiaj. Rycerz taki, bronił niewinności, karał zbrodnie, słabszym dawał opiekę przeciw mocniejszym, a więc narażał zawsze życie swoje.

— Tak, to prawda. Dzisiaj jednak na ludzi złych

są sądy powiatowe i kryminal we Lwowie, a mocniejszych już nigdzie niema, bo wszystkich zarówno i należycie osłabiono podatkami. Otóż dzisiaj podobnym bohaterstwem do serca kobiety przemawiać nie można, bo zmieniło ono alfabet.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Rozmaitości.

Pierwsze kantory zleceń i publicznych licytacji w Warszawie.

Z rozwoju publicznego i domowego życia mieszkańców Warszawy, powstawać zaczęły zakłady ułatwiające rozmaitego rodzaju stosunki i potrzeby. W aktach archiwalnych i gazetach miejscowych spotykamy tego ślady we wszystkich kierunkach.

Właściwie jednak dopiero od Stanisława Augusta biorą początek tak zwane wówczas kantory pośredniczące w różnego rodzaju interesach, a z nich kantory stręceń służących, oficyalistów, oraz przybywających tłumami cudzoziemców na guwernerów, fryzjerów, kucharzy, kamerdynerów i t. p. powstały najpierwsze. Utrzymujący takowe nazywali się wówczas *korespondentami*; lecz korespondenci ci stołeczni, utrzymując stosunki z możnymi i szlachtą na prowincyi, ułatwiali i inne interesa. Między nimi odznaczał się szczególnie niejaki Friese, który w r. 1764 urządził pierwszy tego rodzaju zakład, nazwawszy go *kantorem adresów*. Istniał on przy ulicy Trębackiej i prowadził bardzo obszerne czynności, jak się z licznych jego ogłoszeń, umieszczanych w ówczesnej gazecie Warszawskiej, przekonać można. Prócz stręceń, pośredniczył on we wszystkim: w ugodach o sprzedaż dóbr, w prowadzeniu spraw procesowych, spadkowych poszukiwań i t. p. Nawet w stosunkach listownych i miłosnych miał udział. Co więcej, sprowadzał książki, instrumenta muzyczne i handlował lekarstwami uniwersalnemi. Nie gardził także licytacją różnych przedmiotów, lubo do tego już były wyłączne kantory.

We dwa lata później, jako stręczyciel cudzoziemców, wstąpił się niejaki Karol Delcubane, mieszkający na Nowém mieście. Najważniejszym wszakże w owych czasach zakładem był tak zwany *kantor aukcyjny*, utrzymywany przez Michała Groella. Ciekawa to bardzo postać. Jako księgarz i wydawca położył on u nas niezmiernie zasługi. Obok tego był tytularnym konsyliarzem królewskim, a przytém uprzywilejowanym proklamatorom aukcyj, jak wtedy nazywano. Prowadził najprzód swoje interesa w zamku, następnie od r. 1776 pełnił je w ratuszu w rynku staromiejskim, gdzie utrzymywał mnóstwo towarów brabanckich i norymberskich, prawnie przez miasto lub prywatnych zajętych, a nareszcie urządził swój kantor w Marywilu (gdzie dziś teatr Wielki) i prowadził go poczynając od r. 1779 przez czas bardzo długi. Przychodziło w ręce Groella wiele rzeczy przez prawo na korzyść wierzycieli lub stron spadkowych zajętych; lecz mnóstwo także prywatnie mu do zaukcyonowania powierzano. Społeczeństwo nasze ówczesne, lubiące się tak namiętnie bawić, używać i marnotrawić zabytki rodzinnej zamożności przodków, posiadało wiele kosztownych przedmiotów do zbicia. Groell znakomitą ich ilość w kurs puścił za granicę i tym sposobem niejedno arcydzieło sztuki przeszło do zbiorów obcych. Jego sklep kantorowy w Marywilu wyglądał jak bazar kosztowności. Stare złotolite materye, pasy bogate, karabele drogocennymi kamieniami wysadzane kunsztowną złotniczą robotą, broń turecka, dywany perskie, szpalery, czyli tak zwane teraz gobeliny, tudzież rzadkie pierwszorzędných artystów włoskich obrazy, książki bogato oprawne, wydania rzadkie, — leżały obok najnowszych fraszek mody, które zruinowani magnaci i rozrzutnicy za bezcen zbywali u Groella. Szczególniej częstemi tam bywały licytacje na książki i obrazy, na które niejednokrotnie kupcy zagraniczni przybywali i najrzadsze rzeczy wyławiali. Na obrazy bywały także licytacje u Groella na św-Jańskiej ulicy.

Bardziej zbliżony formą do dzisiejszych kantorów zleceń, otwarty został w r. 1801 przy ulicy Zapiecek przez kupca Gustawa Radzanowskiego zakład na wzór zagranicznych, a za jego przykładem poszły następne.

Kościół parafialny w Złotopolu.

(Gub. kijowska).

Dając rysunek kościołka leżącego na samém pograniczu chersońskich stepów, w okolicy wesołej, otwartej, ale już nacechowanej mocno ukraińskim wyrazem, dołączamy krótką wzmiankę o jego początkach.

Już przed osiemdziesięcią laty w Złotopolu była kaplica wzniesiona przez Annę Staal, żonę Gustawa Staal, pełnomocnika klucza turyańskiego. Opiekę nad świątynią stale mieli księża franciszkanie i do 1795 r. spełniali w niej posługi religijne. Z ufundowaniem parafii w Śmile, miasteczku oddalonym od Złotopola na wiorst kilkadziesiąt, oddano złotopolską kaplicę pod zarząd śmiliańskich proboszczów.

Poświęcono ją 1791, a 1795 roku konsystorz kijowski wyznaczył do niej bazyliana ks. Hieroteusza Lisi-

nieckiego, który zostawał pod inspekcją proboszcza śmiliańskiego i po dwu latach umarł. Stała ona na tém samém miejscu, gdzie dziś parafialny kościół, bez opakarnienia, gontami była kryta i funduszów nie posiadała żadnych.

zarząd Antoniego Jaworowskiego. Szlachetny ten, godny prawdziwej czci kapłan, odznaczył się tém, iż jak samą świątynię, tak i wszystkie zabudowania kościelne przyprowadził do porządku. Parafia została zwiększoną i liczyła już 1500 parafian z górą, kościółek więc fundacyi Zaleskiego okazał się zaciąsny. J. w. ks. biskup Borowski, wizytując kościół w 1856 r., zaproponował powiększenie budowy. Dzięki współczuciu jakie się znalazło na te słowa, gdy wszyscy parafianie oświadczyli gotowość do ofiar, proboszcz miejscowy zrobił plan, zajął się przygotowaniem materiałów i gorliwie zbierał składki.

Kościół w teraźniejszym swym stanie ukończony został 16 lipca 1861 r. i benedykowany w czasie odpustu. Ma on z dawniej budowy tylko prezbiterium i kopułę. Sufit jego wspiera się na ósmiu kolumnach. Wewnątrz mieści w sobie trzy ołtarze: ołtarz wielki pod imieniem Niepokalanego poczęcia N. Maryi Panny; drugi z obrazem N. Maryi czę-



Kościół parafialny w Złotopolu. (Gub. kijowska.)

stochowskiej w srebrnej szacie; trzeci pod imieniem św. Franciszka-Ksawerego. Obrazy zdobiące świątynię są wszystkie pędzla Konstantego Barszczewskiego, artysty z Kamieńca-podolskiego.

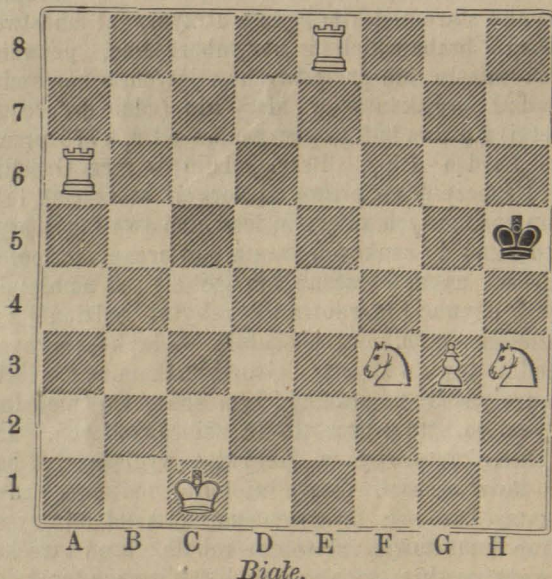
Tadeusz Padalica.

Szachy.

ZADANIE XXXIV.

Białe zaczynają i dają matę za 3-tem posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 33.

Białe.

Czarne.

- | | |
|------------------|-----------------|
| 1) A2—A8+ | 1) D6—D5. |
| 2) A8—E8+ | 2) B6—E6. |
| 3) E8—G6 | 3) F5—G6 biorą. |
| 4) G4—2+ | 4) E4—F5. |
| 5) G2—G4+ i mat. | |

- | |
|----------------------------|
| 1) F5—D5. |
| 2) G4—F2+ |
| 3) A8—D5 biorą+ |
| 4) D5—G8+ |
| 5) F2—G4 lub G2—G4+ i mat. |
| 2) E4—F5. |
| 3) F5—G6. |
| 4) Jakkolwiek. |

Od roku 1806 zamieszkał stale parafią ks. Maciej Męciński, franciszkanin, i zostawił drogą w sercach parafian pamiątkę. Pierwsza kaplica była, jakśmy powiedzieli, zbudowana ubogo. Stanowiła ona kwadrat długości 18 łokci, a szerokości osiem, z jedną wieżyczką nad ołtarzem. Żadnych dodatkowych budowli, nawet pomieszkania, nie było przy niej więcej. Starania ciągle zacnego kapłana utrzymywały ją z jałmużny. Podczas jego zarządu zrobiono po raz pierwszy w 1807 r. spis ludności katolickiej w parafii, który wskazał liczbę parafian płci męskiej 307. Zaprowadzono jednocześnie księgi metryczne i otwarto w przepisany porządek duchowną korespondencją. Te ulepszenia wpłynęły na zaliczenie złotopolskiej kaplicy do rzędu parafialnych kościołów. Za bytności ks. Męcińskiego założony został drugi cmentarz (przedtem wszystkich grzebano przy kaplicy) i wkrótce na tym cmentarzu i sam on spoczął, a 1810 roku, kosztem obywatela czerkaskiego powiatu Franciszka Zaleskiego, wzniósł się nowy, murowany kościół.

Po ks. Męcińskim, objął zarząd kościoła ks. Łukasz Ilnicki i rządził nim do 1845 roku. I temu kapłanowi kościół zawdzięcza doskonale zaprowadzony porządek i opatrzenie.

W r. 1818 liczono już parafian 800 z górą, lecz kościół nie miał ani ziemi, ani sianozęci: jedyny fundusz zawierał się w pieniądzu.

Rok 1837 fatalny był dlań z tego względu, iż wszystkie kościelne zabudowania spłonęły od pożaru i pozostał tylko jeden dom mieszkalny proboszczowski. Ksiądz Ilnicki odbudował to wszystko i przeniósłszy się na mieszkanie do kamienieckiej dyecezyi, tamże wkrótce umarł.

Po nim spełniał obowiązki parafialne przez ciąg czterech miesięcy ks. Wincenty Kłossowicz; następnie zajął jego miejsce ks. Wiktor Godleski i rządził jako administrator przez dwa lata i pół. Po roku 1848 nastąpił ks. Narcyz Lewicki i rządził do sierpnia 1854 roku. Nakoniec kościół przeszedł pod-

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 41.

Pokolenia tak upływają, jak strumień bystrego potoku.

(Dodatek.)

SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

(Dalszy ciąg).

XV.

W piękny czerwcowy poranek zerwał się pan radzca z łóżka, aby jak zwykle, wypić swoje pić, czy sześć szklanek wody w ogrodzie Saskim, nim pójdzie do biura. Już był prawie wybrany, gdy spojrząwszy na żonę, krzątającą się jeszcze w nocnym czépku, zawołał przerażony:

— Co tobie? tyś chora!

— Nie, nie czuję żeby mi co dolegało.

— Przez Bóg żywy! nie czujesz? chyba taisy przedemną; widocznie jesteś cierpiąca.

— Ale upewniam cię, drogi mężu, nic a nic mi nie jest.

— Łudzisz się sama; na twarzy widoczne ślady niedyspozycji. Jeżeli się zaniedbasz, może być z tobą bardzo źle. Jak mnie kochasz, weź lekarstwo.

Żona z przerażeniem spojrzała na czulego małżonka.

— Ale cóż znowu! pocóż mam brać to, co mi niepotrzebne? Zupełnie zdrowa jestem.

— Zupełnie zdrowa! i jeszcze mnie to mówił! Pod oczami sino, oczy błyszczące, skroń gorąca. Masz ból głowy, prawda? Nie? to widać nie wiesz co ci jest. Stan niebezpieczny.

Pan radzca pobiegł do szafki, od której klucz zawsze miał przy sobie, dobył jedną z licznych flaszek, wziął łyżkę w drugą rękę i pótł prosił, pótł chodził za ukochaną małżonką, aż ją namówił do przyjęcia lekarstwa. Złożywszy ten dowód czulej troskliwości małżeńskiej, pobiegł pan radzca czém prędzej ratować własne zdrowie.

— Ojciec dziwaczy znowu, rzekła Róża. Trzeba było nie brać, mamie zaszkodzi.

— Eh, przecież nie trucizna; mniejsza o łyżkę lekarstwa.

Zasiadły obie do herbaty.

— Mężczyźni wszyscy dziwaczają na starość; i twój Tomasz taki sam będzie.

— O, chyba nie. Dziękuję bardzo, nie wypilałabym lekarstwa dla jego kaprysu.

— Nie w taki, to w inny sposób będzie dziwaczył i wypadnie ci to znosić. Prawdę powiedziawszy, ty wcale nie robisz kariery, wychodząc za Tomasza. Jesteś przecież ładna, masz edukację, jeszcześ młoda, mogłabyś daleko lepiej wyjść za mąż. On nie ma nic i ty tak samo; będziecie całe życie bić klepać, podobnie jak twój ojciec i ja. On stetryczeje, zdziwaczeje, ty uwiegniesz w kłopotach, i takie będzie wasze życie, — rzekła matka, popijając herbatę.

— Będziemy się obywać z początku. Zresztą cóż robić, kiedy to już postanowione.

— I, co tam postanowione! Nikt nie stanowił. Możeby się i trafił kto bogatszy, ale cóż, każdy uważa go za zdeklarowanego, a on tobie tylko zagroził drogę do szczęścia. Bo i jakież to będzie wasze szczęście, kiedyście oboje jak święci tureccy. Gdyby to on jeszcze był dbały, zabiegliwy, myślał o sobie; ale próżniak, fanfaron, nigdy w biurze nie siedzi, tak że nawet przez wzgląd na protekcję ojca nie chciano mu teraz dać awansu. Gdyby cię kochał prawdziwie, toby inaczej pilnował swoich interesów.

Róża milczała. Czy słuszność uwag matki, czy jej własna oziębłość była przyczyną tego milczenia, dość że nie śmiała ust otworzyć w obronie Tomasza.

— Oto i wczoraj, mówiła dalej matka, u Papierowskich pan Smoliński tak się interesował tobą, tak mi wieszował pięknej córki. Możeby i na seryo pomyślało tobie, gdybyś nie była się dała tak powszechnie okrzyknąć za narzeczoną Tomasza.

— Ale ten Smoliński taki brzydki i stary.

— Nie jest brzydki, nieprawda, ani bardzo stary. Taki poważny, to najlepszy na męża, a ma ładny urząd i podobno listy zastawne na piersiach nosi.

— Pfe, nigdybym nie poszła za człowieka co listy

zastawne nosi na piersiach. Jak też mama może nawet myśleć coś podobnego.

— Tobie wszystko pfe, a tymczasem mogłabyś daleko lepiej wyjść za mąż, choćby za takiego statecznego człowieka jak pan Smoliński. Dziś masz już przekonanie, że Tomasz jest wietrznik, bałamut. Od lat tylu stara się o ciebie, i cóż? Próżnuje, czeka na zmiłowanie Boże. On i za dziesięć lat nie będzie miał nawet na urządzenie domu porządne, a choćby i miał, to jest charakter lekki, człowiek bez nauki. Ty z nim nigdy nie będziesz szczęśliwą.

Róża smutnie zwiesiła głowę. Tomasz możeby sobie i dała wyperswadować, ale nie dlatego żeby w zamian Smolińskiego dostać. Wiele już narad podobnych miała z matką, ale nigdy dawniej nie słyszała tak ostrego potępienia swego narzeczonego, i nigdy też tak słabo nie występowała w jego obronie. W tém wszystkiém co radczyni mówiła o Tomaszu było wiele prawdy, wiele też wypływało z jej złego humoru. Smoliński przypadkiem zwrócił jej uwagę, a Tomasz jej totumfacki, widocznie w czémś skrewił, nie posłużył jak należało. I bezstronnie rzecz biorąc, nie można mu się było dziwić, bo pani Machowska obracała nim bez miłosierdzia. Nieraz mu zabrakło cierpliwości i wtedy nie pokazywał się przez dni kilka w domu przyszłych teściów, za co Machowska płaciła mu podobnemi jak powyższa konferencyami z córką.

Słuchając utyskiwań matki, wzięła się Róża do naléwania dzieciom herbaty, gdy na schodach dały się słyszeć pośpieszne kroki, dobrze jej znane.

— Tomasz idzie, rzekła. Czego on chce tak rano?

— Pewno jakie nowe głupstwo; może bukiet ci niesie, jak gdyby wiele było pożytku z tego chwastu.

Drzwi się otworzyły i Tomasz wpadł jak na skrzydłach.

— Wiwat! zwycięstwo! wołał, skacząc po pokoju i całując ręce pani radczyni i Róży, wygraliśmy na loteryi! Wiwat loterya!

Matka i córka patrzyły nań wzduśmieniem, własnym oczom nie wierząc.

— Tak, tak, nie patrzcie na mnie tak zdziwionemi oczami; prawda, święta, wygraliśmy i to kusz gruby, bo wielki los. Szkoda tylko żeśmy po piątce trzymali. Czemuż ja też całego losu nie wzięłam.

— Mój Tomasz, nie żartujże z nas; znów ci jakiś koncept wpadł do głowy, rzekła matka z niedowierzaniem.

Tomasz spojrzał na nią z tryumfem; potem dobywszy z bocznej kieszeni bilet na loteryę i Kurjera z dnia poprzedniego, podał to matce.

— Jezus Marya! on prawdę mówi, krzyknęła Machowska i padła na kanapę, z której przed chwilą się podniosła. Oj, oj, mnie niedobrze.

Niewiadomo czy lekarstwo rano zażyte, czy nowina świeża taki wpływ wywarła, dość że pani radczyni blizką była omdlenia. Róża poskoczyła po ocet i wodę, skropiła twarz matki i otoczyła ją wszelką troskliwością. Po chwili atak przeminął.

— Pójdźże, kochany Tomasz, rzekła osłabionym głosem, niech ci powinszuję: wieszuję ci obojgu, moje kochane dzieci! rzekła ściskając głowę Tomasza do jej ręki schylonego i zwracając się do córki. Pan Bóg ci da pociechę, będziecie szczęśliwymi!

Tomasz i Róża, zwyczajem wielu kochanków, trzymali na ten sam numer do spółki dwie piątki; wygrana więc na oboje spadała.

Matka długo uspokoić się nie mogła; kręciło jej się w głowie. Tomasz skakał i plótł prawie od rzeczy. Tém bardziej więc zastanawiała spokojność Róży, a raczej pomieszanie pewne i zdziwienie, zamiast wesołości. Gdyby pani Machowska i Tomasz nie byli pod urokiem doznanego wrażenia, pewnoby ten chłód spostrzegli.

— Kochany Tomasz! Drogie dziecko! mówiła Machowska osłabionym głosem. Jak to rozumnie, żeś wziął na tę loteryę i Różę namówił do trzymania. Szkoda że nie cały los wzięliście. Mój Boże! byłoby całe 50,000 rubli! Ileż to wypadnie, dwie piąte części? pewno tam jeszcze co odtrąca.

— Po odtrąceniu procentu i wynagrodzeniu kolektorów, mieć będziemy we dwoje około 17,000 rubli.

Ach! jak bogaci będziemy! Co to robić z taką masą pieniędzy? To pani rączka taka szczęśliwa, rzekł Tomasz, całując Różę w rękę.

— Tomasz, ja myślę że teraz najlepiej będzie kupić majątek ziemski, rzekła matka.

— A urząd? prawda niewielki, ale mógłbym awansować. Możeby lepiej kupić kamienicę w Warszawie.

— Co tam urząd, możesz się bez niego obejść; a majątek ziemski, dobra, to daleko przyzwoicić mieć niż kamienicę, to nadaje znaczenie. Obywatel ziemski!

— Tylko, widzi mama, ja nigdy nie byłem na wsi, a to trzeba umieć gospodarować.

— Cóż znowu? gospodarować każdy potrafi, byle miał na czém. Przecie to nie filozofia; gospodarstwo z książki, to głupstwo. Każdy chłop umie gospodarować.

— Jednakowoż w Marymoncie czegoś się tam uczą, rzekł Tomasz, niezupełnie wierząc swojej przyszłej świekrze.

— O, nudzisz z Marymontem. I bez Marymontu ludzie gospodarowali i było dobrze. Zresztą od czegoż ekonom i rządca?

— Nie mamy sobie jeszcze nad czém głowy łamać, moja mamo. Pomyślimy o tém, a jak się co korzystnego nadarzy, to kupimy. Wiesz czy kamienica, w każdym razie będziesz pani miała swój powóz i konie.

Ostatnie słowa zwrócone były do Róży, którą pożegnawszy pocałowaniem w rękę, porwał Tomasz za kapelusz i wybiegł niby do biura, a rzeczywiście aby rozgłaszać wszędzie swoje szczęście. Nie mógł usiedzieć na miejscu.

— A niech mama na wieczór zaprosi kilka osób, zawołał jeszcze ode drzwi. Pożyczę tymczasem od kogo; wypijemy szampana na wiwat.

Kochany ten Tomasz! bardzo miły chłopiec! mówiła radczyni, po odejściu Tomasza. Gdérałam rano trochę na niego, bo jak wszystkiego brak, to i humoru niema. O, on sprytny chłopiec, ręczę że potrafi użyć korzystnie tych pieniędzy. Najlepiej żeby dobra kupił.

— Czy to tylko na dobra nie zamało trochę, moja mamo.

— Och, byle umiał się wziąć dobrze. Przecie i ja obywatelska córka i wiem jak się kupuje. Zapłacić coś z góry, resztę na raty, zaciągnie pożyczkę; od czegoż bank, towarzystwo. Kilka lat urodzaju wszystko wyrówna. Z mniejszym przecież kapitałem kupują.

Po obdzieleniu młodszego rodzeństwa herbatą i wysłaniu go na pensję, po ukończeniu porannej krzątania, siadła Róża przy małym stolczku od roboty, spojrzała na rozpoczęte przerabianie starego kapelusika na nowy fason i zamyśliła się głęboko. Jest więc majątną, opadają żelazne łańcuchy niedostatku które ją tak długo kępowały, jedyny powód jej dotychczasowych utyskiwań na los. Los ten znalazł się jak galant, z prawdziwie rycerską grzecznością usunął cierń z jej drogi.

— Powinnabym być szczęśliwa, wesoła; dlaczegożem taka poważna? zapytywała Róża sama siebie. Zdaje mi się że się smucę. Tysiące myśli roi mi się po głowie, których przedtém nie bywało. Czyż mnie uszczęśliwią te fatalaszki które będę miała? Doprawdy niewarto wyrzucać pieniędzy na takie nędzoty, kiedy to daleko milęj samęj sobie zrobić. Józe! słusznie mówi, że trzeba żyć poważnie; otóż teraz pora pokazać, że i my umiemy coś poważniejszego zrobić. Trzebaby mądrze użyć tych pieniędzy. Żeby tylko wyperswadować Tomaszowi.... Ale cóż mu zaproponować? Sama nie wiem dobrze. Powiem mu najprzód żeby — żeby niewiele zmieniać w sposobie życia jaki prowadzimy. Jemu już kocz i konie w głowie. Wprawdzie to bardzo przyjemnie jechać własnymi końmi, w swoim powozie i patrzeć na ludzi z góry. No, ale to potem, jak się urządzimy i będzie można na to odłożyć. Doprawdy, nie wiem sama co mi jest; nie mnie to wszystko nie cieszy. Gdyby Józe! wygrał na loteryi, co onby zrobił? On się teraz będzie z nas śmiał, bo Tomasz pewno głupstw narobi.

Takie myśli krążyły Róży po głowie i jeszcze wiele innych, które opisać trudno, i jeszcze inne, które od-

pychała od siebie, a które mimowolnie jej się cisnęły do głowy, jak uparte muchy, odpędzać się nie dające. Zmęczona bezowocną walką, porwała za kapelusik i okrywkę i postanowiła iść do kościoła, podziękować Bogu i szukać w Nim rady i uspokojenia.

Gdy przechodziła przez plac Warecki, aby przez Świętokrzyską ulicę dostać się na Krakowskie Przedmieście, ujrzała nowowznoszący się budynek; podniosła oczy w górę i o mało nie krzyknęła z przerażenia.

Na wysokości trzeciego, piętra na parapecie, stał Józef z toporem w ręku. Zajęty robotą, najmniejszej nie zwracał uwagi na to co się na bruku działo; smukła jego postać, przyodziana w prostą bluzę rzemieślniczą, rysowała się na tle niebios, oblana południowym słońcem. Długo mu się tak przypatrywała Róża, drżąc za każdym jego poruszeniem, za każdym uderzeniem topora; ale stapania Józefa były śmiałe, uderzenia pewne, ruchy swobodne i wdzięczne.

Kiedy nareszcie Róża poszła do kościoła i padła na kolana z gorącą modlitwą na ustach, obraz Józefa często jej stawał na oczach, więcej modliła się o jego zdrowie i powodzenie, niż o pomyślność Tomasza, niż o swoją własną.

XVI.

Po finansowej rozprawie z ojcem, wrócił Zygmunt do swego mieszkania i pogrążył się w bolesne dumania. Zabrał w położenie, z którego nie widział wyjścia. Miłość, honor, godność własna wskazywały mu jedną drogę; materialne rachuby i ambicja druga, — pośredniej nie było. Dziesięć razy decydował się iść do Ewy, upewnić ją o swojej niezłomnej miłości, wypowiedzieć śmiało hrabinie że to jest jego narzeczona i odwieźć Ewę do domu matki; lecz tyleż razy przechodziło mu na myśl upakować się, pojechać na wieś i próbować czy nie zapomni tej, która mu tak niefortunnie zagradzała drogę świetnej przyszłości. Wieczór nadchodził, a Zygmunt jeszcze nie powziął postanowienia. Nareszcie z dumania zbudziło go wejście ojca.

— Aha, zastałem samotnika; takem też i myślał że w domu siedzisz.

Zygmunt w milczeniu podsunął ojcu fotel.

— Byłem u pani hrabiny Skalickiej, rzekł stary, patrząc na niego badawczo.

— Nie traci ojciec czasu, rzekł Zygmunt ze smutnym uśmiechem.

— O, i bardzo z niego korzystam, przybyłem tam w samą porę. Natrafiłem na małą scenę domową, która pewno dla nas obu nie będzie bez pożytku, a nawet mam dokumenta.

Zygmunt niespokojnie spojrzawszy na ojca.

— Bolesne to będzie trochę dla ciebie co ci powiem, ciągnął dalej stary, ale zbawienne; opadnie ci łuska z oka.

Tu stary Orzelski, z komentarzami własnymi, opowiedział szczegółowo wszystko co widział i słyszał w domu hrabiny i złożył w ręce Zygmunta list Szopy, jako *corpus delicti*.

Zygmunt słuchał opowiadania i przyjął list z pewnym niedowierzaniem. Rzecz stała się tak nagle, tak niespodzianie, że przypuszczał jakąś intrygę. Po przeczytaniu, zmięty list schował do kieszeni i rzekł blady od wzruszenia.

— Daruj ojcie, ale muszę osobiście to wszystko sprawdzić. Więc ona już wyjechała od hrabiny?

— Już jej tam nie zastaniesz.

Zygmunt chodził wielkimi krokami po pokoju...

— Ten list jest błahy i nic nie stanowi, rzekł po chwili.

— Ha, zależy to od indywidualnego poglądu, rzekł ojciec zimno. Chcesz czekać większych dowodów, toć się z czasem doczekasz, ale jakim kosztem?

— Cóż to znaczy, że jakiś błazen do niej pisał, jeżeli to jeszcze nie intryga hrabiny.

— Że nie intryga, to ręczę. Ale o cóż ci chodzi; możesz z góry być pewnym, że byleś się udał do tej panny, to ci wszystko jaknajpiękniej wytłumaczy. One wszystkie nie winne temu, że się młodzi chłopcy im oświadczenia. Dziwna rzecz że bywają ładne panny, których to jednak nie spotyka. Zresztą są ciemne punkta w tym liście, któreby warto wyjaśnić. Jakies tam widywanie się w ogrodzie, rozmowy, wiarsze.

— To wszystko potwarz! krzyknął Zygmunt, prawie wściekły z bólu. Myślałem nieraz, że jej te kumoszki hrabiny jakiego figla spletają.

— Zygmunie! nie bądź dzieckiem, nie ulegaj temu zgubnemu złudzeniu. Ona, jak widzisz, ma się kim pocieszać, a ty sobie obierz stosowniejszy, godniejszy przedmiot miłości. Jeżeli pójdziesz do niej, to ci wszystko w innem przedstawi światło, jestem tego pewny, to rzecz naturalna; ależ nie daj się wodzić na pasku, nie grzeźnij dobrowolnie w nie-dobranym związku, nie przyprowadzaj ojca do rozpacz!

Długo jeszcze stary Orzelski błagał, prosił, perswadował; potężnym był w wymowie i jaknajlepiej spełniał obowiązek rodzicielski. Nareszcie Zygmunt sam został. Przeczytawszy list jeszcze raz i drugi, wrócił do pierwotnego zdania, że jeżeli jest w tym jaka wina Ewy, to w każdym razie nadzwyczaj mała. Pochodźszy po pokoju, uległ nareszcie chęci usłyszenia objaśnień od Ewy, porwał za kapelusz i pobiegł na ulicę Piwną.

Ciemno już się robiło. Zygmunt z trudnością wyszukał numer domu, wszedł do ciemnej sieni i o-mackiem trafił do wschodów. Woń skór surowych i zgnilizny z podwórza przykro raziła jego delikatne nerwy; włożył rękawiczki, aby gołą ręką nie dotykać brudnej poręczy; stapał niezmiernie powoli, tak z powodu ciemności, jak i niepewności co mu właściwie zrobić należy. Doszedłszy do drugiego piętra, ujrzał nieco światła padającego z góry; podłoga była nierówna, ściany odrapane, zaduch przykry. Zygmunt stał długo i myślał co dalej robić; nareszcie skreślił na trzecie piętro. Tu schody były jeszcze węższe i spadziście; w połowie ich zatrzymał się Zygmunt, spoglądając na ubogie, krzywe i brudne, bo od wielu lat niemalowane drzwi, o przyłamaną klamkę, prawdopodobnie prowadzące do mieszkania jego lubiej. Czuł się jakby zimną wodą oblany; postać Ewy traciła aureolę, jaką w wyobraźni swjej dotąd ją otaczał.

Wydała mu się teraz istotą płochą, romansową, dla której ofiar tak ciężkich ponosić nie było warto. Zresztą, pomyślał, jaką ja tam odegram rolę w obec mamy i całej rodziny? Nie, trzeba cofnąć się prędko, żeby mnie kto nie spostrzegł.

I zaczął się odwrót stanowczy. Wybiegł Zygmunt na ulicę, potrąciwszy się kilka razy wysokim kapeluszem w ciemnej sieni, wszedł w pierwszą dorózkę jaką napotkał i kazał się wieść w aleje, aby ochłodzić gorączkę, która mu paliła głowę.

— Sama winna, powtarzał sobie raz po raz; ale mu coś w sercu odpowiadało: jesteś nikczemny!

Potwarz usłyszana oburza w pierwszej chwili; lecz jak trucizna kropla, wciągnięta do organizmu, powoli przenika w najdelikatniejsze jego tajniki, tak i potwarz skrycie podkopuje nasze wyobrażenia i uczucia, gdy te nie opierają się na silnej podstawie. Tylko bardzo zdrowe charaktery oprzeć się potrafią takiemu wpływowi; nawet niedorzeczna nagana, śmieszny koncept, rzucony przez kogoś z boku, pozostaje ostrzem wranie i długo ją krwawi. Jeżeli zaś jeszcze dołączają się do tego pozory pewne, jeżeli własny nasz interes popiera cudze zdanie, czy cudze kłamstwo, wtedy skutek potwarzy jest niezawodny. Wątpła budowa uczuć obala się od pierwszego podmuchu tego samumu.

Blady, z bajronowską twarzą, ze smutkiem w oczach i z ironią na ustach, pędził Zygmunt, o ile sił było w dorózkarskich koniach, po pustej już alei Belwederskiej. Szkoda że go nie widziały piękne panie stolicy: bardzo mu do twarzy było z tą rozpaczą. Zawiedzione nadzieje, spełzone marzenia, rozczarowanie, zdradzone uczucia, wszystko to tam było, i jeszcze więcej. Wydymał te puste balony na pociechę sobie, na ustrojenie się w coś, ale czuł na dnie serca, że się bawi frazesami, że gra rolę sam przed sobą. Późno wrócił do domu i spędził rzeczywście noc prawie bezsenność.

Nazajutrz postanowił opuścić Warszawę, bez widzenia Ewy. W drodze wieszował sobie siły, z jaką wykonał czyn heroiczny i wytrzymał amputację, któraby zwyczajnych ludzi powaliła o ziemię. Ocałił się!

Ewa pierwszego dnia po powrocie do matki nie spodziewała się przyjścia Zygmunta; drugiego ocze-

kiwała go prawie na pewno; trzeciego smutne ją ogarnęły obawy, ale jeszcze nie traciła nadziei; czwartego uległa pod ciężarem bólu i około południa, rzuciwszy się w ubraniu na łóżko i ukrywając w poduszkę twarz spłakaną, tak resztę dnia i noc całą przepędziła. Stroskana matka kilkakrotnie siadała przy niej, usiłując ją pocieszyć. Ewa przyjmowała wszystkie przedstawienia matki z wdzięcznością, prosząc tylko aby wypłakać jej się pozwoliła.

Następnego dnia rano, wymyszy oczy zaczerwienione i ubrawszy się starannie, wzięła patent nauczycielski do kieszeni i wyszła, z zamiarem zawiazania dawnych stosunków, przerwanych pobytom u hrabiny, i wyszukania sobie lekcji. Wychodząc, ucałowała matkę, a twarz miała tak spokojną, jak gdyby cierpieć już przestała.

Ubodzy ludzie nie mają czasu oddawać się rozpacz. Żelazna konieczność popędza ich do czynności, — i tego mogą im zazdrościć bogacze; praca jest bardzo gorzkim lekarstwem na rozpacz, ale bardzo skutecznym. Wprawdzie Chateaubriand powiada, że najwygodniej rozpaczć w czwórkonnej karęcie; ale mojem zdaniem, kilka dni przepędzonych od świtu do północy nad ciężką pracą więcej pokrzepi zranione serce, niż wszelkie romantyczne spojrzenia przez okno karęty.

Trudno było wynaleźć lekcye podczas wakacji, kiedy wszyscy zamożniejsi mieszkańcy opuszczają Warszawę; trzeba było niemało użyć wysilenia, aby sobie znowu wyrobić pewną nauczycielską praktykę.

Gdy Ewa po kilkogodzinnej chodzeniu po mieście zbliżała się do mieszkania, jeszcze jej serce biło nadzieją. A może był, może na nią czeka, kto wie jakie miał przeszkody? Pierwszy rzut oka na matkę i siostrę, przekonał ją że się łudziła: nie miano jej nic do powiedzenia.

Smutno resztę dnia spędziła, powstrzymując łzy i zachowując je jak co dobrego do poduszki; ale umiała walczyć i zwyciężyć. Uczucie zresztą prawdziwe wynajduje sobie zawsze coraz to nowe tłumaczenia, boć to mistrz w sofistyce. A może Zygmunt chory? może jaki przypadek go spotkał? Wątpliwości te przedstawiła matce, która niedowierzając potrząsała głową, ale zgodziła się na posłanie Micia do mieszkania pana Zygmunta, w celu zapytania stróża domu czy nie wyjechał. Micio wkrótce powrócił z wiadomością, że młody pan Orzelski od kilku dni bawi na wsi.

— To dobrze, rzekła Ewa po chwili. Musiał wyjechać, nie mógł się widzieć ze mną, ale powróci lub napisze. Nie powinnam go posądzać.

Ta myśl uspokoiła ją znacznie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przejazd przez szczyty Kaukazu.

skrócił

Kaźmirz Łapczyński.

(Dalszy ciąg).

Nie dojeżdżając pół mili do pocztowej stacji, w lesistym wąwozie, kwateruje batalion piechoty w koszarach i barakach pobudowanych naprędce. Wbiegam do jednego maleńkiego domku i zastawszy w nim nad salaterką kapuśniaku niemłodego oficera, z ogromnymi siwymi wąsiskami, wołam:

— Bądź zdrow, Ignacy, wracam.

— Niech cię gęś kopnie. W piętnaście lat po mnie przybył i już jedzie. No, no, będę i ja tam niedługo.

Dotrzymał słowa. W kilka lat po owym pożegnaniu byłem u niego w Krakowskim, gdzie osiadł w małym miasteczku.

— A chodź-że przedź, woła doktor z powózki, wymiń nas i pierwszej koni dostanę.

— Pamiętałem ja o tym dobrze — odpowiadam siadając. Dla niestracenia kolei, straciłem wysmienity polski kapuśniak z grzybkami, z jakim się nieprędko zobaczę.

Dzwonek zadzwonił; jedziemy dalej. Lesisty wąwóz, po dnie którego biegła nasza droga, niezadługo

wpadł prostopadle do drugiego, nierównie szerszego wąwozu, przetrzętego piękną rzeką, naszą znajomą Aragwą. Skręciliśmy na lewo. Po obu stronach góry i skały okryte lasami, pod niemi na prawym brzegu Aragwy, na stromym wzgórzu, sterczą resztki obronnego zamku i kilka starych ostrokręgowych cerkiewnych kopuł, georgiańskiego smaku; dalej, na dole, nad rzeką, stacya pocztowa, kilka duchanów — i otóż jesteśmy w Ananurze. Podczas półtoramilowej drogi z Duszetu nietęgi zrobiliśmy interes, trzysta stóp spuściliśmy się ku dołowi, Ananur bowiem jest 2812 stóp nad poziom morza wzniesiony. Droga winna, że zamiast trzymać się Aragwy, umyśliła do Duszetu wstępować. Nauczani doświadczeniem, już się więc ani razu ku dołowi sprowadzić nie damy, na przestrzeni siedmiu mil co nas od kaukaskiego szczytu oddzielają; ale kiedy my tę kilkomiłową odległość przejdziemy, to znowu naszą materya, będąca w związku z nowiną, jaka nas na pocztowym progu spotkała.

— Konie są — objawił nam dozorca poczty — ale przed pół godziną odebrałem rozkaz, żeby wszystkie zatrzymać pod przejazd Dadianowej, władczyni Mingrelii, powracającej z koronacyi, wraz z kilku znakomitemi osobami.

Była to dla nas stanowczo zła nowina. Są ludzie tak wysoko wzniesieni, że każde, wielkie czy drobne, niepowodzenie przenoszą z chrześcijańską rezygnacyą; na nieszczęście my z doktorem nie byliśmy z ich liczby. Do słowa czekać mieliśmy wstręt nieprześlągany i rzucając się, poszliśmy szukać w pustym Ananurze koni, albo choć wołów do najęcia. Nie było. Wróciliśmy na pocztę.

— *Bóg komu daje, daje dwiema rękoma; komu odejmuje także dwiema* — wołał na powitanie Iwanes, tylko co przed nami do Ananuru przybyły. *Kto idzie na przodzie, jest mostem dla idącego w tyle*; już ja tu dla was mieszkanie obmyśliłem. Patrzcie — trzy pokoje. Do jednego małego osobne wejście. Jeżeli chcecie, tam się razem we czterech umiścimy, jako najdawniejsi znajomi, a dwa pokoje zostawimy dla jadących za nami. Cóż? zgoda? Trzeba się nam wygodnie zagospodarować, bo tu pewnie przyjdzie parę dni posiedzieć.

Zgodziliśmy się chętnie na wspólne mieszkanie, ale na wzmiankę o parodniowym pobycie, wykrzyknęliśmy z doktorem: — co? — i jak dwa bazylijski patrzyliśmy na Iwanesa.

— Nie chcecie dwa dni zemną siedzieć — śmiejąc się, mówił Iwanes — to ja was lepiej pocieszę: doczekamy się śniegowego obwału i na dwa tygodnie do aresztu was zasadzę.

— Co? — wykrzyknęliśmy znowu i podskoczyli, jakby nas żmija ukąsiła.

Eliko, widząc że stosowna chwila nadeszła, żeby zerwać potrójne przymierze i Iwanesa w zupełnym odosobnieniu pozostawić, wykrzyknął:

— *Waryatowi zawsze wesoło!* To prawdziwe nieszczęście, a on się śmieje. Mieliliśmy przed świętami koniecznie wrócić do Tyflisu; teraz kto wie czy wrócimy. Zresztą ta zupełna beczyność na tych utrapionych stacyach jest dla mnie zabijająca.

— Powoli Eliko, powoli. Powiadasz: mieliśmy wrócić, nie wrócimy. Ha! sprawdź się przyszłowie: *w domu projekt ułożony, na nic za domem*. Powiadasz o beczyność. *E! znają się ludzie jednego rzemiosła*. Wiem ja jakiś ty pracowity. Już teraz nigdy nie będę mówił: *Próżniak w święto ma największą ochotę do roboty*, ale powiem: Eliko w podróży ma ochotę pracować.

— Nedoręczności pleciesz, jak zawsze, mówił Eliko, a we mnie aż się wszystko przewraca ze złości na tego łotra dozorcę. Słowo daję, on wszystkim winien. Ochota mnie bierze pójść i zwymyślać go od ostatnich słów.

— Zwymyślać? udając uniesienie, wołał Iwanes. Słowo — to wiatr. *Powiedziałem: ogień — ust nie opaliłem*. Zwymyślać? Ten łotr nie na to zasłużył. *Zły pies sam nie je i drugiemu nie daje*. Czemu on nam koni nie daje? *Nawet zielony ogórek myśli że ważna osoba*. Co on za ważna osoba, że nam koni nie daje? *Tykwa nie będzie szprazkiem szkłem, choć ją postawisz na najwyższą półkę*, a on, choć na najniższej półeczce, myśli że wielki dygnitarz. *Białe zęby — czarne serce*. Elegant jakiś! *Nie jada kurdiuka* (ogon barani), *bo do tyłu przywiązany*. Co on nam tam

będzie o Dadianowej rozpowiadać. *Egarzowi nie wierzą, choćby prawdę mówił*. My jemu damy. Więcie co zrobimy? Nie pójdziemy do niego; *wiele wilków mało szkody robi*. Eliko, ty jeden idź. Nie bierz żadnej broni, tylko zakasz rękawy po same łokcie; wiesz przecie, że dla odważnego czucha zbroją, a pilśniowa czapka hełmem. Powiadają: *topór mały, ale wielkie drzewo zwał*, coż to dopiero będzie gdy takie ogromne siekierzysto jak ty spadnie na taki mały krzaczek. Idź, nieustraszony Eliko, a jak cię po twoim wielkim czynie pocztyliony zwiążą, to ja ci powiem do ucha: *osiół wyrwał kolek, raz uderzył gospodarza, a piętnaście razy siebie*.

Za tę oracyą przebaczyliśmy złe wróżby Iwanesowi, co spostrzegłszy Eliko, dał dowód że jest wytrawnym dyplomata, obawiając się bowiem odnowienia potrójnego przymierza, nie gniewał się, nie krzyczał, ale zaczął dowcipkować.

Iwanes tymczasem, pan położenia, takie nam wypalił kazanie.

— Powiadają: *chwałę w oczy, posel diabła*. Ja nie chcę być szatańskim ambasadorem, więc wam wszystkim trzem prawdę powiem: cierpliwości nie macie, a to przecież wielka jest cnota. *Morze łyżką można wyzerpać*. Roztropność i pokój wewnętrzny, nie zamacony żadnymi zdarzeniami, to także wielkie cnoty. *Bóg na górę popatrz, dopiero potem śnieg spuszcza*. I człowiek tak samo robić powinien, nie zgola nie przedsiębrać, póki się dobrze nie namyśli. *Dzieciwiec raz przymierzaj, raz kraj*, jest to złota rada. Nic pośpiesznie robić nie trzeba; *śpieszący opóźnia się* i nieraz wielkiej biedy i sobie i drugim narobi. Bardzo u nas pięknie powiedziano: *jeden głupiec rzuci dyament do morza, niech się tysiąc mędrców zbierze, nie wyjmą*. Życie ludzkie nie różami usłane. Każdy z nas ma swoje siodełko. A ty się, Eliko, słowami nie odgrajaj, *bo kot co miauczy, myszy nie złapie*. A ty chory, jak widzę, nie dużo się od pani biedy nauczył. A ty, doktorze, pamiętaj, że *dwóch dyń jedną ręką nie uniesiesz*: chciałbyś i piękną żonkę z Wilna przywieźć, i żadnej przeciwności w drodze nie doświadczyć. Posłuchaj, kochany doktorze, ja ci bardzo piękne wiersze powiem. *Ktoś rzekł do róży: piękne masz liście, zachwycającą kibić; tylko dziwią mnie te kolce, które nie pozwalają przybliżyć się do ciebie*. Róża odrzekła: *milsza słodycz, gdy przez gorycz do niej idziesz, a piękność gdy staniesz, to owoców smażonych nie warta*. Widzisz jak rozumnie odpowiedziała róża, choć nie ma duszy. Bo naprawdę, jak można pragnąć żniwa radości, nie orząc roli smutków. Gdzież dobro bez złego? Chyba w pokusach szatańskich. Nie skarż się, przyjacielu, bo naprawdę nic ci się nadzwyczajnego nie stało.

— Benel! zawołał doktor — to daleko zabawniejsze od twoich morałów, Iwanesie. Dyktuj, zapiszę te wierszyki w pugilaresie, na pamiątkę ananurskiej kwarantanny; ale niechże wiem najprzód imię autora. Może to twoja doraźna improwizacya?

— O! niedzisiejsze to wiersze — odpowiedział Iwanes. Chwała Bogu, już mają około 700 lat. To słowa sławnego Rustawela, z czasów Wielkiej Tamary.

Na rozmowach i gastronomicznych przyrządach zeszedł wieczór. Nazajutrz pogoda była cudowna, wyjazd stanowczo niemożliwy, wziąłem więc dubeltówkę na plecy i powlokłem się z moją wyliczą na cały dzień w górę, skuszony piękną miejscowością i spragniony samotności, poczta bowiem już była pełna podróżnych i wciąż huczała jak ul na wyrojeniu. Na wychodnym usłyszałem z ust Iwanesa georgiańskie przysłowie: *ptak niewart darcia jego piersi, a tęp bardziej łowienia*.

Szedłem zrazu nad Aragwą pocztową drogą ku północy, upatrując w zachodnim boku wąwozu drożyny, żeby dostawczy się na góry, zobaczyć jakim też to światem otoczony jest Ananur, z dołu bowiem, prócz ładnych lesisto-skalistych boków wąwozu i Aragwy, nic więcej nie widać. Niezadługo znalazłem, czego szukałem. Stroma ścieżka zawiodła mnie do romantycznej ruiny zamku; zapewne było to dawne gniazdo jakiegoś burzliwego kartalińskiego wasala. Odpocząłem — napatrzyłem się dowoli na stare kamienne wieżycy, na resztki murów, na Aragwę co jak wstęga wiła się w dole — i poszedłem dalej powoli, coraz łagodniejszymi spadkami dźwigając się ku górze. Otoczyły mnie pyszne bukowe lasy, a po parogodzinnej drodze wszedłem w okolicę, gdzie na

krawędziach skał zaczęły pokazywać się olbrzymiej wysokości jałowce. Dokoła lesiste wąwozy, ale do szczytów dostać się ani sposób. Co się wydzwignę paręset stóp, idąc podnoszącym się coraz wyżej grzebieniem lesistej góry, to nowy, coraz wyższy, najeżony bukami horyzont zjawia się przedemną. Góry, skały, wąwozy, są tu już na wielką skalę budowane. Porównując Kaukaz z Karpatami, okolica Tyflisu i Mcchetu jest pienińskiemi skał, okolica zaś nadanurska, po której się tułam obecnie z moją Kolbą, nie spotykając żadnej zwierzyny, jest już skałi kościeliskiej. Nie idzie za tem żeby okolica Tyflisu albo Mcchetu podobną była do Pienin, Ananuru zaś do Kościelisk. Różnice są stanowcze. Jeden i ten sam człowiek zupełnie inaczej wygląda z wąsami w kontuszu, aniżeli wygolony, w nastroszonej peruce. Różnica jeszcze więcej będzie rażąca, jeżeli strój i osobistość się zmieni. Strojem gór jest roślinność. Zupełnie inaczej przedstawiają się Karpaty, w swoim pysznym i zasobnym świerkowym płaszczu i ze swemi aksamitami kosodrzewiny, a inaczej okolice kaukaskie przez które przejeżdżamy, wystrojone w przezroczyste sukienki, li tylko z liściastych drzew uszyte, bo o jałowcach niema co wspominać, mówiąc o lasach. Są jeszcze głębsze różnice niż suknie: rasa jest inna. Jasnych barw piaskowce Pienin i wapienia Kościelisk cechują rasę białą; Tyflis, ze swemi czerwonymi łupkami, do rasy miedzianej należy; Mcchet zaś, Ananur i dalsza droga na południowych stokach Kaukazu, malajskiego jest pochodzenia.

Odpoczywając pod rozłożystym bukiem, zdziwiony zostałem jakimś straszliwym łoskotami, co grzmiały w przyległym wąwozie. Po pierwszym grzmocie myślałem że się kawał skały oberwał; ale gdy się te huk peryodycznie powtarzać zaczęły, zaciekawiony, poszedłem na rekonesans. Wynalazłem przyczynę i usiadłszy nad potężną przepaścią, takim bawiłem się widokiem: w przepaści, to jest na dnie wąziutkiego wąwozu, ciągnęła się drożynka, tuż za nią strzelała nagle w górę skalista ściana, prawie pionowa. Skała ta na wysokości mniej więcej dziesięciu warszawskich świętokrzyskich kościołów, miała znacznie łagodniejszy spadek, z czego korzystając buki, bujnym lasem się rozsiadły. Las był na jednym poziomie ze mną, a w tym lesie kilku wieśniaków rąbało drwa. Robota szła nadzwyczajnie prędko. Podcięty buk przewracał najprzód po stromiej pochyłości kilkanaście coraz większych i gwałtowniejszych koźłów, tracąc z trzaskiem konary i gałęzie, potem spadał w przepaść, na jej dnie w drobne szczapki się rozpryskiwał, i grzmot rozlegał się po okolicy. Gdy wieśniacy tyle już mieli drewna ile im było potrzeba, wychylili się nad przepaść i zaczęli krzyczeć tym donośnym głosem, jaki tylko zórawie i górale wydobyć z piersi umieją. Wykrzykawszy się, odeszli. W przepaści na drodze zjawiało się kilka arb. Wieśniaczki drewna nagromadzone bez wielkiego zachodu, zaczęły układać na dwukołowe wozy. Zaprzężone do nich woły, wydawały się jak myszy z mego stanowiska nad przepaścią.

Przed samym wieczorem, zmordowany, powróciłem do Ananuru.

Ceremonia przejazdu już się odbyła, konie więc na jutro były nam obiecane.

— Po co ty tam chodziłeś? — pytał mi na powitanie Iwanes. *Stuletniej babie w styczniu zażądało się truskawek*, a tobie na początku zimy zachciało się pięknymi widokami rozkoszować. Nic nie zabiłeś, nie ciepłego nie jadłeś i nic nie widziałeś; my zabiliśmy trzy kury, zjedliśmy dobry obiad, widzieliśmy wielkich panów i tutejszy zamek. Idź go jutro rano obejrzeć.

Usłuchałem dobrej rady i nazajutrz po spadzistęj drodze dostałem się do niewielkiej, opuszczonej fortecy, wysokim murem i kilkoma basztami opasanej. Wewnątrz nic niema, prócz kilku domków, ormiańskiego kościoła i dwóch cerkwi georgiańskich. Mniejsza, ceglana, wielkiej starożytności, bo podobno aż współczesna z zaprowadzeniem chrześcijaństwa w Iberyi, była w r. 1737 świadkiem tragicznej sceny. Erystaw ksański obległ w tym czasie Ananur. Obleżony Jerzy Erystaw aragwowski, po zdobyciu przez nieprzyjaciela murów, zatarasował się w cerkwi, a nie chcąc się poddać, żywcem z całą rodziną został spa-

lony. Podobne zajścia trafiały się niekiedy między kartalińskimi burgrafami. Niektórzy z nich tak byli potężni, że się wyłamywali z pod władzy georgiańskich królów, jak to np. zrobił Atabeg achalcychski w XV wieku.

Cerkiew większa, jest to bardzo ładna z XV wieku ciosowa budowla. Kamień nadzwyczaj starannie jest obrabiany. Gzymsy i sute ornamenta wypieszczone są jak cacka.

Po południu wyjechaliśmy przecież z Ananuru, trzymając się poprzedniej kolei, to jest Iwanas z Eliaszem byli pierwsi, my drudzy. Droga szła wielkim wąwozem nad Aragwą. Minawszy zwiędzony wczoraj przezemnie zameczek, wąwóz powoli przestoczył swoje naturę: z lesisto-skalistego, stał się wyjątkowo skalistym, i stosując się do woli Aragwy, to na prawo, to na lewo wyginał się łagodnie. Wymiary otaczających nas skał były potężne, a na ich wysokościach, gzymsach i skarpach, jakby na półkach, ruiny starych zameczków i baszt stały w poważnym milczeniu. Za każdym zagięciem drogi, przedstawiała się naszym oczom nowa, dalsza część olbrzymiego korytarza i zawsze na jego ścianach, to z jednej, to z drugiej strony rzeki, to wyżej, to niżej, pokazywał się nowy zameczek, jakby nowe gniazdo sokole. Zachwycające było to muzeum georgiańskich starożytności, i niewiedzieć kiedy przejechaliśmy trzy mile. Całe południowe stoki Kaukazu od strony Georgii wypełnione są nadzwyczaj licznymi ruinami świadczącymi, co to za potężne i ludne musiało być państwo, nim mahometanizm brzegi morskie zawładnął, wdarł się w góry i kierownictwo losami Kaukazu z dłoni kartalińskiego plemienia wytrącił. Ileż to podań możnaby zebrać na tych ruinach, w tym nietkniętym nieczyją ręką, zaczarowanym kwietniku! Jeżeli sądzono Georgianom zgromadzić kiedyś teskarby, może przy nich nadreńskie legendy będą takimi kartami, jakimi są nadreńskie skały w obec tych mas potężnych, co szarżują przy naszej drodze, wieczornym mrokiem zasute.

Pociemku wjechaliśmy do wioski Passanauru. Jesteśmy 3958 stóp nad poziom morza wzniesieni. Ledwie stanęliśmy na pocztowej stacyi, zły los po starciu zaczął nas prześladować. Ni mniej, ni więcej, tylko spotkała nas w Passanaurze świeżusienka prosto z pieca nowina, że rano śniegowy obwał zsunął się z Gudu i zupełnie drogę zawałił.

— Rozbójnik jakiś — wołałem, nie mógł choć jeden dzień przeczekać!

— Niechże go siarczyste! dołożył doktor, zapomniałszy razem ze mną o wczorajszym kazaniu Iwanesa.

Ponieważ w Passanaurze stale mieszkają inżynierowie komunikacji, pod których nadzorem jest droga, łatwo więc nam było u samego źródła dowiedzieć się o rozmiarze klęski, co się na nasze plecy stoczyła, opóźniając na czas nieokręślony powitanie stron rodzinnych. Dostawszy języka, widzieliśmy że było źle, ale mogło być jeszcze gorzej. Część tylko śniegów nagromadzonych na Gudzie zsunęła się; droga za parę dni będzie oczyszczona, jeżeli przez ten czas reszta śniegów się nie zwali, bo w takim razie dłużej niż przez tydzień przejazd byłby niemożliwym.

— Moja ty bieluchna śniegowa resztko — prosił się doktor — moja ty maleńka odrobinko, choć ty poczekaj na wierzchu tego bezbożnego Gudu, póki my nie przejeździemy.

Przeszło cztery mile oddzielało nas od miejsca, gdzie droga została zasypaną, a że do najbliższej stacyi, do Kajszauru, na trzymilowej przestrzeni nie było żadnych przeszkód, więc nazajutrz o świcie pojechaliśmy dalej, poprzedzeni, jak zawsze, przez Iwanesa i pana Eliasza.

Znowu pilnujemy się rzeki i jedziemy dalszym przedłużeniem wczorajszego wąwozu, który wypada teraz doliną nazywać, bo się znacznie rozszerzył; stosunek jednak do ścian mało się zmienił, gdyż skały otaczające łożysko Aragwy, co chwila groźniejsze przybierają rozmiary. Już tu wspomniana poprzednio kościeliska skała byłaby zamałą. Rozmiary doliny Rostoki, albo lepiej staroleskiej pod Łomnicą, znajacemu Tatry dadzą o passanaurskiej dolinie wyobrażenie. Zastrzegamy, że tylko co do rozmiarów ścian, bo w gruncie rzeczy niema żadnego podobieństwa.

Najprzód Rostoka i Kolbach są to górskie strumienie, a Aragwa spora rzeka; powtórne dno passanaurskiej doliny znacznie szersze; i nareszcie w Tatrach mieszkają nieme głazy, a tu ruiny i ludzie, bo znowu tak samo jak wczoraj, mamy zamek przy zamku, basztę przy baszcie, i w dodatku wioskę przy wiosce, a wszystko przy ścianach wąwozu ponad przepaściami pozaczepiane.

Wioseczki, których na dwumilowej przestrzeni do Kwiszetu 37 na strasznych wysokościach się czepia, prześlicznie wyglądają, zupełnie jak gniazda jaskółcze. Główne ich siedlisko po prawej stronie, to jest na lewym brzegu Aragwy; droga zaś idzie blisko rzeki po prawym jej brzegu, i tu właśnie przestaje być drogą zwyczajną górską, jaką była na przestrzeni od Tyflisu, a sprawiedliwie może już przybrać tytuł drogi alpejskiej, gdyż często na wiosnę dostępuję w tych miejscach tego zaszczytu, że się o nią kruszą potężne lawiny, staczające się z sąsiednich skał. Na wysokościach, gdzie się te masy lodów podczas zimy gromadzą, niema już ani wiosek, ani starych zamków. Ziemia nie ludzi jest tam własnością, ale dzikich kóz. Mnożą się one tam w wielkiej ilości i łatwo w passanaurskiej dolinie można się zaopatrzyć w kozuch z ich skór uszyty. Tu się także zaopatrują aptekarze we wszystkie alpejsko-lekarskie zioła, roślinność bowiem tutejsza dziwnie ma być urozmaiconą i bujną. Sąsiednie alpejskie łąki mają być na wiosnę tak upstrzone kwiatami, jak najwyszukańsze ogrodowe grzędy. Szkoda że w grudniu przejeżdżam, gdyby latem, mógłbym doraźnie zawyrokować komu się należy pierwszeństwo, Passaurowi, czy np. tatrzańskiemu Felki, nazwanemu przez Walenberga, szwedzkiego botanika, *kwiatowym ogrodem*. Szkoda że grudzień, byłbym wyrocznią.

Klimat passanaurskiej doliny jest bardzo zdrowy. Cholera, kilkakrotnie grasująca w Georgii, nigdy tu nie zaglądała, a w tych gniazdeczkach jaskółczych pouczepianych doskał, ludzie przeszło stuletni dosyć często się napotykają. Lud zdrowy, ślepych tylko wielu, co ma pochodzić z ciągłego zgartywania śniegów z daryalskiej drogi; mieszkańcy bowiem tutejsi, równie jak całej doliny chewskiej, leżącej na stokach północnych, nie płacą żadnych podatków, ale obowiązani są zato drogę przez góry w porządku utrzymywać, naprawiając często zrywane mosty i uprzątając jaknajśpieszniej wszelkie kamienne, lodowe i śniegowe obwały. Te ostatnie są najpospolitsze, że śniegiem przeto najczęściej jest do roboty, tém bardziej, że prócz obwałów, trzeba jeszcze zimą i latem oczyszczać drogę z zasp, co się tworzą w czasie śnieżnych zamieci na szczytach. Tą ciężką pracą około drogi zajmuje się 150 wiosek, liczących razem 1700 dymów. Wypada ztąd, że osetyńska wioska ma średnio tylko około jedenastu domów. Domy czyli saki wszystkie są kamienne, dość obszerne, ale bez pieców; a że niektóre aule czyli wioski są na wielkich wysokościach, to jest w bardzo zimnym klimacie i w okolicach zupełnie bezleśnych, więc długie zimy dają się biednym mieszkańcom porządnie we znaki. Ponieważ cała nasza dalsza podróż w poprzek kaukazkiego grzbietu, odbywać się będzie okolicami zamieszkałymi przez Osetynów, wypada nam koniecznie choć cokolwiek poznać się z tém góralskim plemieniem.

Najwyższe szczyty Kaukazu zamieszkują na zachodzie, od strony morza Czarnego, głównie pokolenia czerkieskie; na wschodzie, od strony morza Kaspijskiego, głównie pokolenia lezgińskie; środkową zaś część Kaukazu plemiona osetyńskie. Czy to są Jasy wojujący z Rusią włodzimirzowską? Zkąd się w ich języku wzięły słowiańskie i niemieckie wyrazy? Dlaczego niektóre ich zabobony są wspólne z chińskimi? Czy są, albo nie są pierwotnym ludem Kaukazu? Oto pytania, na które żaden uczony nie umie jeszcze dać dokładnej odpowiedzi, każdy zaś Osetyn niezawodnie w taki sposób na nie odpowiedział:

— Gdzie wojowali kartalińscy królowie, to i my tam byliśmy z nimi, jako ludzie jednego pochodzenia i języka; mówimy bowiem po kartalińsku, a że są u nas wyrazy niezrozumiałe dla tyfliskich mieszkańców, to nic dziwnego, mogliśmy się ich od górskich sąsiadów pouczyć. Odwiecznie siedziemy w tych gó-

rach, pochodząc od patryarchy co się nazywał Kaukaz, dlatego góry kaukazkimi nazwano. Zabobonów nie mamy żadnych, bo jesteśmy prawowierni chrześcijanie.

Co do ostatniego twierdzenia nie można w żaden sposób na słowach Osetyna polegać, religia ich bowiem jest dziwną mieszaniną chrześcijaństwa, mahometanizmu i pogaństwa. Poganizm nigdy widać nie był z korzenia wytopiony w kaukazkich nieprzebytach wąwozach, a powierzchownie przyjęty chrześcijaństwo zmącił się w ostatnich wiekach pojęciami mahometanizmu.

Dzisiejsi Osetyni, co jeszcze do greckiego kościoła nie należą, a takich najwięcej, tylko trzy chrześcijańskie święta z dawnych czasów zachowali: dzień świętej Trójcy, proroka Eliasza i świętego Jerzego. Uroczystość Świętej Trójcy nazywa się *Kardag-chasan*, to jest *zbiór traw*, i ze szczególniejszą wystawnością obchodzi się w aulach wąwozu Sanaban. Na górze Rekom składają się w tym dniu krwawe z bydła ofiary. Wybierani kolejno w aulach z grona poważnych starców *dekanosy*, to jest duchowni, przewodniczą ofiarom, które się, jak wszystkie osetyńskie uroczystości, kończą wielką, powszechną ucztą. Święty Jerzy także krwawe ofiary odbiera. W grudniu na jego cześć zarzynają kozła, a zdjawszy skórę wraz z głową, wieszają ją na drzewie, najchętniej na jodle jeżeli się zdarzy w okolicy; mięso zaś ugotowawszy, zjadają sami mężczyźni, bez udziału kobiet, i są pewni że tą ofiarą nieczyste duchy od swoich wiosek odpędzili (*). Osetyni zamieszkali w wąwozach kudarskim i mamisońskim, całe dwa tygodnie na początku grudnia świętują *Waszkirki*, w czasie których najwięcej kojarzy się u nich małżeństw. Święta te mają związek ze czią świętego Jerzego i zwykle po *kindzachsanie*, to jest po weselu, na obiadach, co je dają z kolei mieszkańcy aulu na cześć swatów i państwa młodych, taka pieśń bywa śpiewana: „O święty Jerzy! prosimy cię o łaskę, niech te dni (*Waszkirki*) będą szczęśliwe dla swatów, kawalerów i pańien na wydaniu. Państwu młodym daj szczęśliwe małżeńskie pożycie, niechaj się nie pokłóca i na rozdźwięku nie skończą.“

Mogłaby pieśń dodać „jak to się najczęściej zdarza“, rozwody bowiem są bardzo częste, zapewne z powodu wielkiej łatwości z jaką je otrzymać można.

W Osetyi nie żony wnoszą w mężowskie domy posagi, ale starający się o pannę musi za nią dać jej familii umówioną ilość bydła. Zapłata za żonę nazywa się *irat*. Zdarzają się tak szczęśliwe tego handlu obroty, że rodzina panny dostaje czasem 200 sztuk bydła, chociaż osetyńskie piękności nie mają sławy Georgianek i Czerkiesek.

W czasie trzydniowego weselnego obchodu jest jeden bardzo oryginalny zwyczaj. Pan młody całe trzy dni, dniem i nocą, stoi przy drzwiach z zapalonym lucykiem w ręku, a panna młoda wkładając z wydobytych kindzalem. Po trzech dniach każdy gość przed odejściem powinien wystrzelić z gwintówki, oparłszy ją na ramieniu panny młodej, obejść w koło ogień rozpalony na środku izby i na słupie naciąć krzyżyk swoją szablą. Na tém kończy się wesele. Pan młody zabiiera do swojej sakli młodą żonę, gdzie jej świekra na powitanie sypie na głowę otręby, a którabadź z mężowskich krewnych sadłem nogę smaruje.

Wszelkie przysięgi odbywają się z wielkimi uroczystościami, najczęściej na mogiłach najbliższych krewnych. Krwawe ofiary i tu następują. Zarzynają barana i napół ugotowanego zjadają; prócz tego zabijają psa na mogile. Jest to zapewne czysta i nieczysta ofiara. Rota przysięgi bywa niekiedy bardzo obrazowa. Posłuchajmy przysięgających górali z ołagirskiego i tagaurskiego wąwozu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

(*) Kto wie czy święty Jerzy nie został w miejsce Marsa podstawiony, bo syn Junony w starożytności podobne ofiary odbierał; kto wie także czy między temi wiszącymi na jodłach skórami, a złotem runem niema blizkiego związku.